

KAROL MAY

O CALONE MILIONY

CYKL: SZATAN I JUDASZ TOM 10

Mogollonowie

Staliśmy na zboczu wierzchołka i spoglądaliśmy na obóz. Niestety, Jasnej Skały nie mogliśmy rozpoznać. Po nocy wszystko czerniło się jednakowo. W obozie migąły liczne światełka. Namioty rysowały się w niewyraźnych konturach.

— Tak, jesteśmy na miejscu — rzekł Dunker. — Ale co dalej?

— Nie można rozpoznać namiotów — odparłem. — Gdyby to była pełnia i księżyc by świecił, wówczas moglibyśmy działać!

— Mrok ma też swoje zalety.

— Rozumie się. Ale teraz przede wszystkim powinniśmy się dowiedzieć, w którym namiocie jest Melton, a w którym pani Werner.

— Wiem to, ale nie potrafię dokładnie ani określić, ani też wskazać. Ale gdybym nawet mógł, co by pan wtedy zrobił?

— Podkraǳłbym się do obozu.

— W jakim celu?

— Aby przynajmniej rozmówić się z lady, jeśli niepodobna byłoby ją wykraść.

— Byłby to jeden z tych wspaniałych wyczynów pana lub Winnetou, o których niesie fama. Ale musi pan wiedzieć, że dookoła obozu gęsto rozstawiono posterunki. Jakże by się pan przedostał?

— Najzwyczajszą drogą, mianowicie przez wodę. Nie odejdę stąd, dopóki przynajmniej nie spróbuję porozmawiać z panią Werner. Co to za namioty? Letnie czy zimowe?

— Letnie.

— A zatem płócienne, umocowane na kołkach, które łatwo wyciągnąć. Czy oba namioty, których będę szukać, są bardzo oddalone od wody?

— Przeciwnie, stoją tuż nad rzeką.

— To dobrze, a więc idę. Wróćcie do koni i czekajcie na mnie. Oto moja broń, pas i drobiazgi, które mogą się zamoczyć.

— Czy mój brat nie naraża się aż nazbyt? — odezwał się zatroskanym głosem Winnetou.

— Może będzie lepiej, jeśli i Winnetou z nim pójdzie?

— Przecież ty również nie znasz miejsca obozowania.

Naraz zapytał Dunker:

— Wchodzi pan do wody?

— Naturalnie! Na jednym brzegu wznosi się skała, na drugim rośnie zagajnik, pod ich osłoną, w ich cieniu przejdę niepostrzeżenie przez cały obóz.

— Czy sądzi pan, że mógłbym w czymś pomóc?

— Hm, czy potrafi pan pływać, nurkować i chodzić w wodzie?

— Wcale nieźle.

— A czy rzeczułka jest głęboka?

— Tego nie wiem.

— Jaki ma nurt, czy bystry?

— Nie.

— Czy woda była dziś czysta czy mętna?

— Mętna. Zamulona trawą i sitowiem.

— To jest nam bardzo na rękę. Spleciemy z sitowia pływające wysepki i pod nimi skryjemy się przed wzrokiem Mogollonów.

— Wysepki? — zapytał zdziwiony.

— Tak.

— Niech mi to pan wyjaśni, gdyż nie bardzo rozumiem.

— Nie jest to nic nadzwyczajnego. Każde dziecko potrafi zwinąć sitowie, zlepiać je mulem, aby pływało po rzece na kształt wysepki, unoszonej nurtem wody. Pośrodku wysepki tworzy się kopułę pustą wewnątrz i przedziurawioną w wielu miejscach. Gdy wejść pod taką wysepkę, a moja głowa znajdzie się we wnętrzu kopuły, mam nie tylko dosyć powietrza do oddychania, ale i doskonały widok przez dziury. A zatem, słyszę i widzę wszystko, sam będąc niezauważony przez nikogo.

— Kapitalny, fantastyczny pomysł, sir! Tak, od Old Shatterhanda i Winnetou niejednego wyga może się wiele nauczyć.

— Trzeba mieć głowę na karku, mister Dunker. Niekiedy od takich rzeczy zależy nie tylko powodzenie przedsięwzięcia, lecz nawet życie. Co do mnie, to już nieraz takie sztuczne wysepki ocalały moje życie.

— Wysepki mają pływać, a więc trzeba pływać wraz z nimi?

— Pływać, kiedy głęboko, brnąć, gdy płytko. Pod żadnym pozorem nie wolno wywołać najmniejszej fali, bo czujny obserwator może się wszystkiego domyślić. Czy pan mnie rozumie, mister Dunker?

— Oczywiście, sir, bardzo dobrze. Mam nadzieję, że nie okryję swego imienia wstydem.

— Poczekajże, master! To jeszcze nie wszystko. Trzeba przypuścić, że będziemy mieli uważnych i przenikliwych obserwatorów. Zatem nie wolno poruszać się szybciej niż woda,

niż wszystko, co pływa dookoła, a więc i wysepka. Nie należy iść pod prąd, ale zgodnie z nurtem. Nie wolno się zatrzymywać, gdyż sprzeciwia się to prawom natury. W miejscach, gdzie są wiry, należy również wirować, a skoro się przybija do brzegu, to tylko w miejscach stosownych, a więc tam, gdzie woda jest spokojna i gdzie wysunięty cypel brzegu może usprawiedliwić zatrzymanie się wysepki.

— Hm, trudniejsze to zadanie, niż sądziłem.

— Rozwaga i przezorność może zastąpić brak wprawy. A więc czy starczy panu odwagi?

— Ależ naturalnie!

— Świetnie! Ale poczuwam się do obowiązku przestrzec pana, że igra pan ze śmiercią. Jeśli nas spostrzegą, jeśli powezmą podejrzenia, to możemy zginąć.

— Nie tak prędko, jak pan myśli. Przecież możemy się bronić.

— Czym? Wszak nie bierzemy z sobą broni palnej, najwyżej możemy zabrać noże. Przy pierwszym alarmie setki Indian skupią się nad brzegiem rzeki i rozpoczną atak. Jeśli nawet wyskoczymy z wody i zechcemy rzucić się na nich z nożami, to prędzej padniemy przedziurawieni jak rzeszota, niż osiągniemy wrogów.

— Czy oni mogą mieć broń w pogotowiu?

— Nawet gdyby nie mieli broni... Stu wojowników na jednego zgniotłoby nas gołymi rękami. A zatem, niech się pan zastanowi.

— Nie mam się nad czym zastanawiać. Idę! Chcę choć raz w życiu tkwić pod płynącą wysepką i móc się później chwalić, że nauczył mnie tego Old Shatterhand. Nigdy jeszcze takiej sytuacji nie doświadczyłem. Skoro więc nadarza się sposobność, nie chcę jej przegapić.

— Zgoda. Czy wie pan, gdzie są rozstawione strażę?

— Tak, od południa.

— A więc może mnie pan prowadzić. Oczywiście, wejdziemy do wody daleko przed obozem, a wyjdziemy poniżej niego. Ponieważ później nie będę miał czasu, przeto powiem panu już teraz, jak się należy zachować. Lekkie mlaśnięcie językiem oznacza chęć porozumienia się z towarzyszem. Wówczas obie wysepki zbliżają się do siebie tak, aby można było mówić do siebie i słyszeć. Poza tym powinien pan trzymać się mnie i czynić to samo, co ja. Skoro przybiję do brzegu, pan również przybije. Gdy odbiję, pan zrobi to samo. Tylko w tym wypadku, kiedy opuszczę wysepkę i wyląduję, aby podkraść się do namiotu, nie będzie mnie pan naśladować, przyrzeka pan?

— Do stu piorunów! Odważy się pan na to?

— To oczywiście. Proszę tylko zwrócić moją uwagę na poszukiwane namioty, zanim do nich dopłyniemy, gdyż nie wolno będzie się cofać. Zresztą powiem panu, że nie taki diabeł

straszny, jak go malują. Na tym brzegu rzeczulki, gdzie wznosi się skała, nie ma nikogo. Z tej strony więc nic nam nie grozi. Drugi zaś brzeg jest zarośnięty krzewami, które nas osłonią. Dodajmy do tego zachmurzone niebo, mrok dzisiejszej nocy i drzenie ognia, które nie pozwala dostrzec wyraźnie w rzece żadnego kształtu. A więc naprzód! Przede wszystkim zawiadomimy Emery'ego, a potem rozpoczniemy akcję.

— Czy nie lepiej poczekać, aż ogniska wygasną i Indianie ułożą się do snu?

— Nie, bo cóż nam z tego przyjdzie? Wszak chcę się rozmówić z lady i podpatrzeć Indian, aby dowiedzieć się jakichś szczegółów z wyprawy przeciwko Nijorom. Albo odważymy się na wszystko, albo w ogóle zrezygnujemy.

Niepotrzebne drobiazgi i większe przedmioty, na które woda źle działa, przekazaliśmy Emery'emu. Za całą broń miały nam wystarczyć noże. Ponieważ Dunker nie miał własnego, więc dostał nóż Apacza. Nie mogliśmy wyperswadować Winnetou, aby nie towarzyszył nam, nawet w drodze do rzeki. Chciał bowiem koniecznie pomóc przy kleceniu wysepek, na co zresztą w końcu chętnie przystałem, gdyż mogliśmy dzięki temu zaoszczędzić swój czas.

Oczywiście, do dzieła trzeba było się wziąć z największą przezornością. Wyminąwszy przedni, wysunięty nad obozem posterunek, szliśmy dalej naprzód, dopóki nie znaleźliśmy sitowia. Musieliśmy je ścinać tylko pod wodą, ponieważ w dzień przeredzone zarośla mogłyby się Mogollonom wydawać podejrzane. Wśród pobliskich krzewów było wiele suchego drzewa. Mając więc pod ręką potrzebne materiały, wzięliśmy się do budowania wysepek. Musiały być lekkie, ale mocne, gdyż zerwanie się lub rozpłynięcie którejs z nich wystawiłoby pływaka na największe niebezpieczeństwo. Kształt nie powinien był zwracać na siebie uwagi — jak gdyby nurt wody zniósł i sklecił w jedną całość poszczególne części wysepki.

Na przygotowaniach minęła nam godzina. Pierwszy wszedł do rzeki Dunker, aby dokonać próby. Udała się. Winnetou oddalił się oświadczywszy, że będzie czuwał z moim sztucercem w pogotowiu, aby w razie potrzeby przybyć nam z pomocą. Także i ja zanurzyłem się w wodzie. Wszedłszy pod swoją wysepkę, wsunąłem głowę w kopulaste wydrążenie.

Nie jest zbyt przyjemnie tkwić w wodzie w ubraniu. Wprawdzie zostawiliśmy Emery'emu zbyteczny balast, ale ja, chcąc rozmówić się z Martą, musiałem mieć na sobie jakąś odzież, która już wkrótce zaczęła mi ciążyć i przeszkadzać w pływaniu.

Rzeczulka nie była szeroka, ale skoro tylko opuściliśmy brzeg, grunt uciekł nam spod nóg i musieliśmy płynąć. Przystosowałem się do prądu, zaś towarzysz mój poruszał się o kilka łokci za mną. Było ciemno, a jednak po przebyciu pewnej odległości zobaczyłem pierwszą wartę na brzegu. Wyminęliśmy ją szczęśliwie; w strażniku, zwróconym twarzą ku rzece, oba

skupiska gałęzi i sitowia nie wzbudziły żadnego podejrzenia. To mnie przekonało, że nasze wysepki wyglądają naturalnie, i mogłem się spodziewać, że również inni wartownicy nie zwrócą na nie uwagi.

Nie mieliśmy już przed sobą posterunków, prócz tego oczywiście, który zapewne stał za obozem. Niebawem ujrzeliśmy pierwsze oświetlone namioty. Stały na lewym, ocienionym zaroślami brzegu. Gdybyśmy się zatem trzymali tego brzegu, obserwację utrudniałyby nam gęste chaszczce. Dlatego podpłynęliśmy do brzegu prawego. Mogliśmy tu przeprowić się przez rzekę a nawet sprawdzić zagajnik.

Teraz rzeka toczyła swe wody wolniej, gdyż zakreślała szeroki łuk na prawo, gdzie podmywała Jasną Skałę. Dzięki temu powstało wewnątrz łuku, po naszej lewej stronie, miejsce dla namiotów, które rozbito w pobliżu rzeki, aby wodę mieć pod ręką.

Wyminęliśmy już dwanaście czy czternaście namiotów, gdy nagle Dunker dał znak, że chce się ze mną porozumieć. Ponieważ płynął niedaleko, więc nie zatrzymując się, natężyłem jedynie słuch.

— Wielki namiot, przed którym wbito dwie dzidy z lekami, to namiot wodza — usłyszałem cichy szept.

Ta wiadomość właściwie niewiele mnie zainteresowała. Ale spojrzałem we wskazanym kierunku i dobrze uczyniłem. Ognisko przed namiotem zaledwie się tliło, dlatego opodał, gdzie było więcej miejsca, rozpalono drugie. Kilku wojowników siedziało dookoła w taki sposób, że można było przypuścić, iż nadejdą jeszcze inni i zamkną krąg siedzących. Można się też było domyślić, że odbędą naradę. Gdybyśmy mogli ich podsłuchać, niewątpliwie wynieśliśmy z tego wiele cennych wiadomości. Przybiłem do prawego brzegu, w ślad za mną podążył Dunker. Obie wysepki złączyły się w jedną. Byliśmy do siebie tak przybliżeni, że nawet mogliśmy rozmawiać szeptem.

Najlepiej byłoby podsłuchiwać u lewego brzegu, ale zagajnik zasłaniał widok. Dlatego na chwilę przybiliśmy do brzegu prawego. Stąd widzieliśmy dobrze, co dzieje się w obozie. Nogi znów natrafiły na grunt. Co więcej, woda była tak płytka, że mogliśmy usiąść na miękkim, wygładzonym piasku i dosyć znośnie przetrwać tu tyle czasu, ile nam było potrzeba.

— Dlaczego się pan tutaj zatrzymuje, sir? — zapytał cicho Dunker.

— Czy nie widzi pan — wyszeptalem — że zanosi się tam na zebranie?

— Rzeczywiście! Czy chce ich pan podsłuchiwać?

— Tak, później, kiedy się rozpocznie narada. Tymczasem tu się zatrzymamy, aby zobaczyć, ilu i jacy wojownicy wezmą udział w zgromadzeniu. Czy nie widać stąd namiotu, w którym mieszka Melton?

— Nie. Jest to szósty, licząc w dół od namiotu wodza.

— A namiot lady?

— Czwarty.

— A zatem sam już sobie poradzę, o ile się pan nie pomylił. Poczekajmy i patrzmy, co się tam będzie dziać.

Narada dotyczyła ważnej sprawy. Można to było poznać po rozmiarze koła, które miano utworzyć, a i po ilości przybyłych wojowników, którzy zjawili się tam, aby przysłuchiwać się naradzie najwybitniejszych przedstawicieli swojego plemienia.

Złożyło się dla nas pomyślnie, czekaliśmy bowiem nie dłużej niż godzinę, gdy zobaczyliśmy wysokiego wzrostu, atletycznie zbudowanego Indianina, który wyszedł z namiotu wodza i skierował się ku zgromadzeniu.

— Silny Wicher — szepnął Dunker. Był to zatem wódz. Za nim szedł Jonatan Melton od stóp do głów uzbrojony. Usiadł koło Silnego Wichru. Nie tylko więc nie był uważany za jeńca, lecz miał uczestniczyć w naradzie. Widocznie doszedł do porozumienia z wodzem. Następnie na dany sygnał nadeszło dziesięciu czy dwunastu, starych doświadczonych wojowników, którzy również zasiedli w kole.

Rozpoczęła się narada, wobec czego wolno i ostrożnie, jak gdyby prąd unosił nasze wysepki, przepłynęliśmy jeden po drugim ku lewemu brzegowi. Przy brzegu zwarliśmy je ponownie z sobą.

Minęło sporo czasu, zanim ułożyliśmy się znów wygodnie i we właściwy sposób. Narada już się toczyła. Wysoki brzeg zasłaniał nam widok, ale za to doskonale słyszeliśmy donośny głos mówcy.

— Czy wie pan, kto mówi? — zapytał Dunker.

— Wódz.

Głos rozbrzmiewał tak wyraźnie, że słyszać było każde słowo:

— ... Aczkolwiek moi czerwoni bracia zamierzali wyruszyć za cztery dni, istnieją pewne powody, które przemawiają za wyruszeniem jutro rano. Ponadto powiedział mi ten mężczyzna biały że w drodze możemy schwycić trzech słynnych mężów. Jeśli to prawda wówczas po wszystkich namiotach i dolinach w pobliżu, jak też i dalej rozpowiadać będą o męstwie Mogollonów. Owi trzej wojownicy to Winnetou, wódz Apaczów, Old Shatterhand i jeszcze jeden wielki biały, który położył trupem wielu czerwonoskórych wojowników.

— Uff, uff, uff! — rozbrzmiało w kole, a szeregi otaczających wojowników zawtórowały temu okrzykowi radosnego zdumienia.

— Nasz biały brat — ciągnął dale wódz — powtórz moim czerwonym braciom to, co mnie powiedział.

Tymi słowy wódz zagał obrady, Przemawiał stojąc, a teraz zapewne usiadł, gdyż zaległa chwila milczenia, Po kilku minutach rozległ się głos Jonatana Meltona. Wygłosił długą, zacieklą przemowę przeciwko nam. Opowiadał, że byliśmy u niego w pueblu, klęliśmy Mogollonów, odgrając, że pójdziemy do Nijorów i podjudzimy ich do napadu na Mogollonów. Ponieważ jest przyjacielem tego plemienia, przeto czym prędzej skoczył na konia, aby ich ostrzec. O jego lojahiości może świadczyć choćby fakt, że przybył na spienionym i padającym ze zmęczenia koniu. Teraz oto dowiedział się, że dopiero za cztery dni postanowiono wyruszyć na Nijorów. Lecz przedtem Nijorowie mogą najprawdopodobniej na nich napaść. Trzeba więc natychmiast zarządzić wymarsz, tym bardziej, że Dunkerowi udało się zbiec. Ten biały słyszał wszak, że szykuje się wyprawa, i należy przypuścić, że pośpieszy do Nijorów, aby ich uprzedzić.

Przytoczył jeszcze inne powody i kłamliwe wymysły, a czynił to tak sprytnie, iż nie wątpię, że uzyska poklask zgromadzenia. Istotnie, gdy skończył, rozległy się w szeregach Indian przychylny szepty i pomruki. Zapanowała krótkotrwała cisza, po czym odezwał się wódz:

— Mój biały brat dowiedział, iż jest przyjacielem naszego plemienia. Dziękujemy mu. Niech mi tylko odpowie na jeszcze kilka pytań. Czy Winnetou i Old Shatterhand byli nadal w pueblu białej squaw, kiedyś stamtąd wyjechał, i czy wiadomo ci, kiedy opuszczą pueblo?

— Tak, byli, ale kiedy wyjadą, tego nie wiem.

— Czy wiedzą, dokąd pojechali?

— Nie.

— A więc nie należy się spodziewać, że od razu puścili się za tobą w pościg. Być może, są jeszcze w pueblu?

— Istotnie, jest to możliwe.

— Pokrzyżujemy ich plany, wysyłając oddział wojowników, aby ich schwytać. Wówczas nie zdołają dotrzeć do Nijorów.

— A jeżeli już tam są?

— W takim razie rzeczywiście musielibyśmy wyruszyć jutro rano. Jeśli Nijorowie naprawdę targną się na nas, to nie chcąc nakładać drogi, muszą przebyć Tikh Nastla^{*}. Tam możemy się na nich zacząć i wystrzelać co do jednego. Jeśli starzy wojownicy pozwolą, wyślę natychmiast pięćdziesięciu mężów na spotkanie Winnetou i Old Shatterhanda. Pozostali wojownicy wyjadą jutro rano pod moim dowództwem do Tikh Nastla. Powiedziałem! Naradźmy się nad propozycją!

— Chodź, idziemy! — szepnąłem Dunkerowi do ucha.

— Jeszcze nie — odparł. — Skoro już podsłuchujemy, powinniśmy poczekać, aż narada się skończy. Najważniejsze rzeczy dopiero nastąpią.

— Mianowicie jakie?

— Ostateczna uchwała.

— Znam ją. Zresztą, skupiło się tu mnóstwo wojowników i namiot Meltona jest pusty. Muszę działać, zanim skończy się zebranie. A zatem chodźmy. Przybijemy do brzegu przy szóstym namiocie.

Popłynęliśmy dalej. Namiot, o którym mówiliśmy, stał tak samo, jak wszystkie blisko brzegu i rzucał cień na krzewy i wodę. W cieniu tym zatrzymaliśmy się ponownie.

— Pan zaczeka tutaj — rozkazałem Dunkerowi — dopóki nie wrócę. W żadnym wypadku nie wolno wychodzić z wody.

— A jeśli pan nie wróci, sir?

— Wówczas usłyszysz master strzały Winnetou.

— A jeżeli nie będzie strzelał?

— Na pewno będzie. Nie poddam się bez walki. Zgiełk, który wywołam, zawiadomi Apacza, że jestem w niebezpieczeństwie. Skoro tylko usłyszysz pan jego wystrzały, natychmiast niech ucieka. Musi pan wtedy płynąć pod wysepką w dół, póki nie wyminie ostatniej placówki, po czym należy wrócić do sir Emery'ego.

— A pan? Co będzie z panem?

— Moja w tym głowa i Winnetou.

— Łatwo panu powiedzieć! Mam mykać, podczas gdy panu śmierć zagląda w oczy?

— Tak. Pańska pomoc na nic mi się nie przyda, a może mi jedynie zaszkodzić. Zresztą, jestem pewien powodzenia. Wrócę niebawem.

— W porządku, ale powiadam panu, że drzę nie o własną, tylko o pańską skórę.

* Mroczna Dolina

Przymocowałem wysepkę do krzaka, przy którym leżałem, i dawszy nura, wypłynąłem spod niej. Następnie wślizgnąłem się ostrożnie między krzewy na pochyłości wybrzeża. Nie wystawiałem się na niebezpieczeństwo, gdyż za mną nikogo nie było, z obu stron zaś kryły mnie chaszczki, a przede mną stał namiot. Wpełznąwszy na brzeg, rozejrzałem się dookoła. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Teraz należało zbadać, czy jest ktoś w namiocie. Podkradłem się i przyłożyłem ucho do płótna. Cicho. Żadnego dźwięku. Wyciągnąłem kołek z ziemi i uchyliłem ostrożnie dolny rąbek materiału. Na wprost siebie ujrzałem wejście na pół otwarte. Dochodził tu blask ogniska i oświetlał puste wnętrze.

Serce zabiło mi gwałtownie. Melton nosił przy sobie cały zrabowany spadek w skórzanej torbie. Nie miał jej na zgromadzeniu, a zatem zostawił w namiocie. Szybko rozejrzałem się, jednakże nie było jej widać. Uniosłem płótno namiotu i wszedłem do środka. Ale torby w dalszym ciągu nie zauważyłem. Może oddał ją wodzowi na przechowanie? To nie było jednak prawdopodobne! Przysunąłem się do posłania z listowia, ściętej trawy i paru skór, podłożyłem pod nie rękę i zacząłem grzebać. Wówczas... wówczas wyczułem torbę. Ręka mi zadrżała. Cofnąłem ją zastanawiając się, aczkolwiek moje nader niebezpieczne położenie nie dawało mi czasu do namysłu. Opanowało mnie ogromne podniecenie. Tu leżały miliony, za którymi uganiał się po całym świecie! Czy miałem je zabrać? Pociemniało mi w oczach, mieszało się w głowie. Jakże, musi się czuć przestępca, który narażając życie wyciąga rękę po cudzą własność! Wkrótce jednak opanowałem się.

Gdybym wziął torbę, to Melton niebawem spostrzegłby jej brak. Narobiłby hałasu. Ściągnąłby na nas ogromne niebezpieczeństwo, i gdybyśmy nawet uszli z życiem, miałbym pieniądze, ale nie złodzieja.

A zatem nie powinienem brać torby, ale otworzyć ją, wypróżnić i napełnić czymś innym, aby Melton nie powziął żadnych podejrzeń. To wymagało jednak czasu, którego przecież nie miałem. Bądź co bądź, nie należało się mimo tego cofać. Gdyby mnie zaskoczono, byłby to na pewno tylko sam Melton, a z nim jednym dałbym sobie radę. Koniec końcem, wyciągnąłem torbę spod posłania. Kto wie, czy nie wyjął z niej cennej zawartości i nie schował przy sobie. W takim wypadku niepotrzebnie narażałbym się na niebezpieczeństwo.

Była to torba skórzana z żelaznym kabłąkiem, wypchana i... zamknięta.

To pogarszało sytuację. Wyciągnąłem nóż i podważyłem zamek. Zadanie było proste, ale nasuwało wątpliwości, czy zamek równie łatwo da się z powrotem zamknąć. Otworzyłem torbę i sięgnąłem ręką. Poczujęm miękkie, drobne przedmioty. Potem wymacałem zwarty, napęczniały pugilares. Poza tym nic nie było. Wyjąłem portfel. Aby przywrócić dawną

objętość, ściałem nożem pasmo płótna z namiotu u dołu i włożyłem na miejsce pugilaresu. Nacisnąłem zamek — trzasnął. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, jak to się stało, dość, że zamek był zamknięty!

Teraz należało się szybko wycofać. Odwrót nie odbył się jednak tak pospiesznie, jak można było sobie tego życzyć, gdyż musiałem zacierać własne ślady.

Odzież na mnie była wprawdzie mokra, ale nie tak, aby miała pozostawić w namiocie wilgoć. Odłożywszy torbę na swoje miejsce, wziąłem portfel w zęby, wypętlęłem z namiotu i wbiłem z powrotem kołek w ziemię. Posuwając się na klęczkach w powolnym tempie ku wodzie, wyprostowywałem ręką trawę, którą uprzednio przygniotłem. Gdyby dziś w nocy padła na to miejsce rosa, nazajutrz nie byłoby już po mnie żadnego śladu.

Gdy tylko dotarłem do brzegu, usłyszałem szept Dunkera, dobiegający z ukrycia:

— Bogu tysięczne dzięki!... Co to było za okropne oczekiwanie! Jakże drżałem o pana, aby się udało!

— Musi się pan jeszcze uzbroić w cierpliwość — odpowiedziałem.

— Jeszcze? Dlaczego?

— Przyniosłem coś, co muszę uchronić przed zamknięciem i przymocować do swej wysepki.

— Cóż to takiego?

— Kilka milionów dolarów.

— Co? A więc zagrabione pieniądze?

— Tak.

— Szczęśliwiec z pana! Są w torbie?

— Nie, w pugilaresie.

— Przymocuj go pan nader troskliwie, aby nie zatonął.

— Utworzę na wysepce z tyłu drugie wzniesienie. Odtąd będzie pan tylko na nim skupiał swoją uwagę.

Potrzebne mi było drzewo, a nie mogłem odciąć gałęzi, gdyż białe karby mogłyby mnie nazajutrz wydać. Na; szczęście, pełno tu było połamanych gałązek, które dostarczyły nam obfitej ilości materiału. Skoro tylko zabezpieczyłem portfel, wsunąłem się pod wysepkę i popłynęliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się koło czwartego namiotu, po czym znów wyszedłem na powierzchnię.

— Niech pan będzie ostrożny! — ostrzegął Dunker. — Należy przypuszczać, że lady nie jest sama w namiocie.

— W takim razie siedzi przed namiotem — odrzekłem z pełnym przekonaniem.

— Nie rozumiem!

— Taka kobieta, jak ona, dopóki; może, korzysta z świeżego powietrza, zamiast siedzieć w namiocie.

Wyszedłem na brzeg. Istotnie, sprawdziło się moje przypuszczenie. O jakieś trzy kroki ode mnie stał namiot, a przed nim siedziała Marta, nieco z boku, gdyż przed wejściem usadowiło się parę Indianek. Nie mogłem dojrzeć, dwie czy trzy. Teraz należało do pani Werner przemówić tak, aby się j nie złąła. Najlepiej więc było nazwać ją po imieniu w języku ojczystym.

— Marto! — szepnąłem.

Drgnęła i odwróciła się przerażona. Na szczęście nie wydała okrzyku. Podniosłem głowę, żeby mogła ujrzeć moją twarz, oświetloną przez chwilę światłem dalekiego ogniska, i dodałem szybko:

— Cicho! Proszę mówić szeptem. Czy poznała mnie pani?

— Tak — odpowiedziała, przysuwając się nieco do mnie.

Indianki skupiły uwagę na miejscu, gdzie odbywało się zgromadzenie.

— Przychodzę, aby pani powiedzieć, że jestem w pobliżu — rzekłem.

— Bogu dzięki! — szepnęła, składając dłonie.

— Przede wszystkim niech mi pani powie, jak się z nią obchodzą?

— Dosyć znośnie.

— A więc nic nie zagraża pani życiu?

— Właściwie... Jeśli jednak Jonatan Melton... Prawda, pan nic nie wie, co nas...

— Wiem wszystko — przerwałem jej. — Dunker, wasz przewodnik...

— Znikł!

— I spotkał mnie i Winnetou. Tkwi teraz tam w wodzie.

— O Boże, to i on się tu podkradł? A gdzie jest Franciszek, mój brat?

— Niech się pani nie niepokoi. Jest bezpieczny, bawi u Nijorów.

— Tam nie jest bezpieczny! — prawie krzyknęła. — Mogollonowie mają na nich napaść. Melton powiedział mi też, że przyłącza się do tej wyprawy, aby pana schwytać.

— A więc spodziewa się naszego przybycia?

— Oczywiście. Groził mi. Kiedy będzie miał pana, Winnetou i Emery'ego, wówczas my wszyscy „zgaśniemy”. Tak się właśnie wyraził.

— To daje pewność, że chwilowo nic się złego nie stanie. Może pani być zatem spokojna. Co się zaś tyczy wyprawy przeciwko Nijorom, to nasza w tym głowa, aby się nie powiodła. A więc nie powinna się też pani lękać o brata.

— Ale niech pan na siebie uważa! Jakże się mógł pan tutaj podkraść i jak się stąd wydostanie? Umrę chyba z trwogi!

— Proszę mówić ciszej! Stare Indianki mogą panią usłyszeć. Jestem bezpieczny jak u siebie w domu. Chwilowo nie mogę pani pomóc, lecz chciałem przynajmniej zawiadomić, że wkrótce będzie pani wolna. A gdzie jest Murphy, ten nieostrożny adwokat?

— Tam dalej. Melton kazał go pilnie strzec. Jakże się panu powiodło? Zdaje się, że nie znalazł pan poszukiwanego zamku?

— Znaleźliśmy. Później pani o tym opowiem, gdyż nie jest to miejsce na pogawędkę. Harry Melton nie żyje. Jego brat Tomasz jest w naszych rękach i tylko Jonatan czmychnął. Ale najpóźniej za kilka dni będziemy go mieli.

— A spadek? Co z pieniędzmi?

— Być może, już je mam.

— Ma pan...? — zawołała zdumiona.

— Pst, ciszej! Za wiele już mówiłem i za długo tu przebywam. Dodam jeszcze tylko tyle, że byłem w namiocie Meltona. Wykradłem stamtąd jego pugilares, który prawdopodobnie zawiera wszystko, co chcieliśmy odzyskać. To rzecz najważniejsza. Łotra złapiemy później. Teraz muszę już iść. Niech się pani nie martwi i spełni, gdy tylko się oddalę, moją prośbę.

— Chętnie, ale jaką?

— Przejdzie się pani parokrotnie stąd do brzegu, aby zatrzeć mój ślad. Mogollonowie pomyślą, że to pani przydeptała trawę.

— Dobrze! Ale niech pan także spełni moją prośbę i nie naraża niepotrzebnie swego życia! Jeśli pana zabiją, to i ja będę zgubiona.

— Pozostaną wtedy jeszcze Winnetou i Emery. Ale zapewniam panią, że nie narażam się zbyt i że nic złego mi się nie stanie. Niech pani nie traci otuchy i będzie przekonana, że ją na pewno wydostaniemy, gdyż...

Umilkłem, ponieważ w tej chwili rozdarł powietrze ostry krzyk. Stare Indianki skoczyły na równe nogi i oddaliły się pospiesznie w kierunku ogniska, tak że nie mogły mnie już zauważyć.

— Cóż to było? Co to znaczy? — zapytała nieco przestraszona Marta.

— Jest to apel indiański, wódz zwołuje wartę. Z tego wnioskuje, że została uchwalona propozycja Meltona. W każdym razie niebawem wyruszy przeciwko nam. Muszę iść. A więc odwagi! Żegnam...

Był to szczególny przypadek, że mogliśmy niezauważeni tak długo rozmawiać. Marta podała mi rękę, po czym ześliznąłem się do wody. Chciałem zanurkować pod wysepkę, gdy

usłyszałem w miejscu, w którym dopiero co się znajdowałem, znany mi dobrze, donośny głos:

— Miss Werner, przychodzę się z panią pożegnać. Wprawdzie jestem przekonany, że rozstanie się pani ze mną z ciężkim sercem, ale mogę panią pocieszyć, że szybko, nawet bardzo szybko się zobaczymy!

Jonatan Melton przemawiał do Marty tonem tak nieszczerym, że najchętniej wyskoczyłbym na brzeg i wciągnął go do wody. Sytuacja była, nader sprzyjająca. Mogłem wszak wraz z nim wymknąć się niepostrzeżenie z obozu, gdzie nie było już wartowników, ale należało pomyśleć nie tylko o Marcie, lecz także i o Murphym i... o portfelu. Skurczyłem się tylko w swej kryjówce i podsłuchiwałem. Met ton dodał po chwili:

— Nie ja jeden wyruszam. Pani także opuści obóz.

Gdyby była przebiegła — pomyślałem gorączkowo — to wyciągnęłaby z niego coś więcej.

:

I rzeczywiście Marta wykazała dużo sprytu, zręcznie nawiązując rozmowę. W pewnym momencie zapytała Meltona:

— Ja także wyjeżdżam? A kiedy?

— Skoro świt, pojedzie pani wraz z Indianami, którzy wyruszają na Nijorów. Chcę pani dać dowód, jak mało obawiam się pani i jej miłych przyjaciół. Będę szczerzy, już was nie biorę w rachubę. Winnetou i Old Shatterhand puścili się za nami w pogoń. Pani i jej przemądry adwokat nie mogą doczekać się rezultatu pojechaliście również. To było ogromne głupstwo. Wszak Meltonowie niejednokrotnie już udowodnili, że nic im nie zrobicie z tą całą waszą przebiegłością. Pani; wraz z adwokatem jest teraz w mojej mocy. Na czele oddziału, liczącego pięćdziesięciu wojowników, pojedę za kwadrans i niebawem sprowadzę tu Old Shatterhanda, Winnetou i Anglika, jako moich jeńców. Skoro przebywają jeszcze na zamku, to łatwo ich tam zaskoczymy; jeśli zaś już wyjechali, spotkamy ich po drodze. W tym czy drugim wypadku, mamy ich na pewno w ręku. Pani wraz z Murphym, pojedzie jutro rano z Mogollonami, abym miał was w pobliżu. Spotkam się potem z wami w pięknej miejscowości, zwanej Mroczną Doliną. Jak pani sądzi, co się wówczas stanie?

— Wypuści pan nas na wolność? — zapytała Marta z udaną naiwnością.

— Na wolność? Tylko kobieta może być tak naiwna i może tak głupio mówić! Ja jestem spadkobiercą starego Huntera. Nie powinno być innych spadkobierców. Czy rozumie pani, co to znaczy?

— Czyżby chciał nas pan zabić?

— Zabić? Ach, teraz mówi już pani rozsądniej niż poprzednio! Jest pani bliska prawdy.

— Sir, wszak może się jednak zdarzyć inaczej, niż pan sądzi. Jeśli na przykład nie spotka pan Winnetou i Old Shatterhanda?

— To niemożliwe, bo albo są jeszcze w pueblu, a wówczas znajdują się w potrzasku, gdyż mogą się dostać niepostrzeżenie do twierdzy, albo też ścigają mnie, a w takim razie jest tylko jedna droga, na której musimy się spotkać. Tym przemądrzałym łajdakom nie przyjdzie na myśl, że ja, ścigany, mogę obrócić broń na ścigających.

— Ale może się przecież zdarzyć, że to Nijorowie napadną na Mogollonów, a wtedy jeńcy dostaną się w ręce zwycięzców.

— Phi! Babskie gadanie! Nijorowie nie wiedzą, co się dzieje. Napadniemy na nich zniemacka, jak jastrzębie na stado gołąbków. Zarządziłem, aby pani i adwokata ani na chwilę nie spuszczano z oczu. Przywiążę was do koni. Być może zresztą, że wódz łaskawie umieści seniorem w powozie, ponieważ nie umie pani dosiadać konia, a zatem opóźniłaby jazdę. W żadnym jednak wypadku proszę się nie spodziewać, że będzie mogła seniora zbiec lub że pani przyjaciele potrafią nam umknąć i ją ocalić. A teraz proszę wracać do namiotu! Strażniczki nie wypuszczą pani aż do samego rana.

Usłuchała widocznie rozkazu, gdyż zaległo milczenie. Przeczekawszy jeszcze chwilę, odbiliśmy od brzegu i popłynęliśmy dalej. Aczkolwiek wiedziałem, że wszystkie posterunki zostały ściągnięte, to jednak dla pewności wypłynęliśmy poza ich obręb. Zabrałem z wysepki pugilares. Był zupełnie suchy.

Ognisko, płonące na górze, było nam w mrokach nocy drogowskazem. Za nim czekał na nas Emery.

— Sir — rzekł Dunker podczas szybkiego marszu — to mi dopiero przygoda, którą będę z przyjemnością wspominał! Lepiej nie mogło nam się powieść.

— A więc jest pan zadowolony?

— Oczywiście, i to jak zadowolony! Rozmowy pana z lady nie mogłem usłyszeć. Za to Melton mówił wystarczająco głośno. Jego zbytnia pewność siebie i zarozumiałstwo spowodowało, że wyapał wszystko. Jak pan myśli, co należy teraz zrobić?

— Nie tylko my będziemy o tym decydować. Dobrze się stało, żeśmy się tyle dowiedzieli, ale jeszcze bardziej się cieszę z portfela. Melton niebawem wyruszy w drogę, nie należy się więc spodziewać, że zajrzy do torby i zauważy stratę. Nie sądziłem, że tak prędko dobiore się do tych pieniędzy. Bądź co bądź odzyskaliśmy spadek.

— Czy istotnie w pugilaresie są pieniądze?

— Musiałbym się bardzo mylić, gdyby było inaczej. Skoro się tylko rozwidni, zobaczymy.

Przystanąłem, ponieważ zdawało mi się, że widzę przed sobą ciemną postać. To nie mógł być Mogollon. Natychmiast usłyszeliśmy głos Winnetou:

— Moi bracia mogą się zbliżyć. To nie wróg.

Trzymał sztucer w ręce. Po chwili rzekł:

— Ponieważ moi bracia weszli do wody i musieli płynąć z jej nurtem, dlatego stanąłem na tym miejscu, gdyż stąd najszybciej mógłbym pośpieszyć z pomocą. Teraz chodźcie ze mną do Emery'ego.

— Czy nie natkniemy się na wartowników?

— Nie. Po okrzyku wodza wszyscy strażnicy udali się do obozu.

Emery ucieszył się ogromnie, kiedy nas zobaczył. Wyżęliśmy ubrania i zabraliśmy wszystkie zostawione przed wyprawą przedmioty. Kiedy, opowiadając jej przebieg, zatrzymałem się nad pugilaresem, Winnetou powiedział:

— Mój brat nie powinien był go zabierać— Melton na pewno zauważy stratę.

— A niech tam!

— I domyśli się naszej obecności tutaj.

— Może otworzy torbę dopiero jutro lub za kilka dni. A jeśli nawet spostrzeże zniknięcie pieniędzy, czy musi właśnie o nas pomyśleć? Czy nie mogli go okraść Mogollonowie, wówczas gdy lekkomyślnie zostawił torbę w namiocie? Kto wie, jak dawno do niej nie zaglądał. Nie przypuszczam bowiem, aby otwierał ją i sprawdzał jej zawartość co parę godzin. Ponadto może również pomyśleć, że już wcześniej skradziono mu pieniądze. A jeśli nawet od razu się połapie i rzuci na nas podejrzenie, to zawsze lepiej, że my mamy pieniądze, niż żeby były one nadal w jego ręku. Mogłoby się przecież zdarzyć, że kiedy byśmy go schwytali, już nie miałby ich przy sobie.

— Być może, zgodzę się z moim bratem, kiedy usłyszę dalszy ciąg przygody.

Opowiedziałem rozmowę Meltona z śpiewaczką. Gdy skończyłem, rzekł zdziwiony:

— Winnetou uważał tego człowieka za mądrzejszego, niż się okazał. Szyderstwo jest pokusą, której mężczyzna powinien się oprzeć. Zatem z pięćdziesięcioma ludźmi zabiega nam drogę? Cóż na to powie mój brat Old Shatterhand?

— To, co powiedziałby każdy rozsądny człowiek. Na głupotę nie ma rady! Jeśli Melton przypuści, że mogliśmy wytropić dokąd zbiegł, i że udaliśmy się za nim w pościg, to powinien pomyśleć, że możemy już być tutaj albo przynajmniej gdzieś w pobliżu. Dlatego popełnia głupstwo, zarządzając teraz wymarsz. Ciemności ukryją nasze ślady i zapobiegną spotkaniu. Powinien wyjechać dopiero rano, oczywiście uprzednio przeczesawszy miejscowość.

— Mój brat ma słuszość. A następnie o świcie mają Mogollonowie wyruszyć przeciwko Nijorom? Czy są już przygotowani do wyprawy? Wszak spodziewali się jej dopiero za trzy–cztery dni. Czy zdążą się nie tylko uzbroić, ale i zaopatrzyć w prowiant? Czy mój brat spostrzegł, żeby wędzili mięso?

— Nie widziałem ani rzemieni, płócien, na których zawiesza się mię siwo.

— Popełnili wielki błąd. Ani w drodze, ani tam dokąd dążą, nie znajdą mięsa.

— Czyż nie ma zwierzyny w Mroczonej Dolinie?

— Albo nie ma wcale, albo jest bardzo niewiele. A czy wojownicy, któtym w każdej chwili grozi napaść, będą mieli czas na polowanie i przyrządzenie mięsa?

— Nie, dlatego wykorzystamy ich błędy. Czy wódz Apaczów zna Mroczną Dolinę.

— Tak.

— Jak daleko stąd się znajduje?

— Jeśli zwykły jeździec wyjedzie rano i przenocuje po drodze, przybędzie tam następnego dnia w południe. Zaprowadzę do niej moich braci.

— Jest jeszcze inna ewentualność, a mianowicie pozostanie tutaj i uwolnienie jeńców, kiedy wojownicy ruszą w drogę. To byłoby dla nas zupełnie proste.

— Czy mój brat pomyślał jednak o skutkach?

— Tak. Trzeba się dobrze zastanowić. Teraz nie wiedzą, gdzie nas szukać, ale potem będą już wiedzieli.

— Oczywiście. Wyślą natychmiast gońców i zawiadomią wojowników o zdarzeniu. Ale jest jeszcze coś: będziemy wraz z uwolnionymi skazani na powolną jazdę.

— Masz rację. Lady i adwokat będą dla nas kulą u nogi.

— Po pierwsze, nie będziemy mogli pospieszyć Nijorom z pomocą, po wtóre, nie zdołamy uciec przed Mogollonami, którzy rzucą się za nami w pogoń. Czy mój brat myśli, że jeńcom stanie się coś złego pod nieobecność wojowników?

— Nie. Lękać się o nich należy dopiero po powrocie Meltona — odpowiedziałem.

— A więc mogą pozostać. Są tu bezpieczniejsi, niż gdybyśmy się mieli wlec z nimi i opędzać od przeważającej liczby wrogów. Jedziemy zatem do Nijorów, aby ich ostrzec i wspierać: Jeśli Mogollonowie poniosą klęskę, zmusimy ich, aby wydali nam nie tylko panią Werner i adwokata, ale także Meltona.

— Dobrze! Kiedy jedziemy?

— Kiedy Melton odejdzie ze swym oddziałem. Gdybyśmy wyruszyli już teraz, to podążając za nami, odkryłyby nasze ślady.

— Czy nie możemy obrać innej drogi? — zapytałem.

— Właściwie możemy, ale czy nie lepiej jest zostać, dopóki nie przekonamy się że Melton istotnie wyruszył?

— Nie sądzę. Jestem święcie przekonany, że się tak stanie, jak powiedział. Skoro wyruszymy po nich, będziemy zmuszeni deptać im po piętach, gdyż nie będą jechali tak szybko, jak my powinniśmy, o ile mamy ostrzec Nijorów. Wszak po drodze muszą się za nami rozglądać. Proponuję więc albo natychmiast opuścić to miejsce, albo też zostać tutaj i odbić jeńców.

— Mój brat Old Shatterhand ma słuszość. Co powie na to mój brat Emery?

— Natychmiast jechać! — oświadczył Anglik. — Pieniądze już mamy. Teraz musimy bezwarunkowo schwytać kochanego Jonatana. Jeńcom nic złego się nie stanie. Jeśli zwyciężą Nijorowie, zmusimy Mogollonów do wydania jeńców, a jeśli walka przyjmie niepożądany obrót, to w każdym razie możemy się tutaj przekraść, aby dokonać tego, od czego teraz odступujemy.

Zapytaliśmy również o zdanie Dunkera, raczej z uprzejmości niż dla zasięgnięcia rady. Zgodził się z nami, ale wyskoczył jak Filip z konopi:

Musimy się jednak strzec Indian, których wysłano w pościg za mną.

— Czyż nie wrócili już do obozu? — zapytał Emery.

— Nie wiem na pewno, ale raczej powiedziałbym, że nie. Ścigali mnie, póki było widno. U źródła, gdzie się spotkaliśmy, zauważą, że natknąłem się na kilku jeźdźców i że wróciłem wraz z nimi do Jasnej Skały. Z taką wieścią przyjadą do obozu. Można sobie wyobrazić, jaki podniosą wtedy alarm.

— Nie przyjadą z taką wieścią — wtrąciłem. — Od kwadransa wieje silny wiatr i zaczyna kropić. Trzeba dodać, że już się ściemniało, kiedy opuściliśmy źródło. Prześladowcy pana nie byli tam jeszcze. Noc zapadła, zanim mogli nadjechać. Aby nie zgubić pańskiego śladu, musieli się tam zatrzymać, gdzie też zastała ich noc. Gdyby mimo to pojechali do źródła przypuszczając, że tam pana schwytają i napoją konie, to już nie zdołają rozpoznać naszych śladów. Ognia nie mieli przy sobie, czy też nie zapalali. Nie wspomnę już o tym, że koń, na którym pan uciekł, jest najlepszy i najszybszy, a więc doskonale wiedzą, że nie zdołają pana doścignąć. Zachodzą teraz dwie możliwości: albo zawrócili z drogi i znajdują się już w obozie, zaniechawszy pościgu, albo zatrzymali się na pańskim tropie, chociaż na próżno, bo zanim nastanie dzień, deszcz, który pada coraz gwałtowniej, zatrze i zmyje wszelkie ślady. — Tak, tak, bardzo słusznie, sir.

Sądzę więc, że nie trzeba zwracać na nich uwagi.

Jest tak, jak rzekł Old Shatterhand — potwierdził Winnetou. — Za kwadrans będzie ulewa. Znikną również ślady, które zostały po nas. Dosiądźmy koni!

— Czy Winnetou potrafi nas tak prowadzić, aby Mogollonowie nie deptali nam po piętach?

— Tak. Oni do źródła pojedą drogą, którą przebyliśmy wczoraj. Jeśli skęcimy nieco na prawo, to nas nie spostrzegą.

Znaczyło to, że powinniśmy jechać równolegle do drogi Mogollonow. Tak też zrobiliśmy. Mogła być druga w nocy, kiedy opuściliśmy miejscowość, w której przeżyłem przygodę pływacką. Jazda stawała się dosyć nieprzyjemna, gdyż wiatr wzmagął się, a deszcz stawał się tak ulewny, że już po krótkim czasie nie zostało na nas suchej nitki. Dunkerowi i mnie było to właściwie obojętne. I tak poprzednio cali przemokliśmy, bardziej deszcz nie mógł już nam dokuczyć.

Ocalone miliony

Jazda, która nas oczekiwała, była trudna, wymagała od koni wiele wysiłku. Wierzchowce jednakże odpoczęły wcześniej w pueblu, podczas gdy my byliśmy zmuszeni wciąż czuwać. Również pod górą, gdzie Jumowie chcieli nas napaść, spaliśmy bardzo mało, dziś znowu nie zmrużyliśmy oka, a czy najbliższej nocy będziemy mogli wypocząć, to było bardzo wątpliwe wobec ogromnego pośpiechu, jaki nas pędził naprzód. Deszcz miał swoje zalety — orzeźwił wierzchowce. Natomiast jeźdźcy nie mieli humoru. Jeśli bowiem pogoda nawet piecucha tak nastraja, że przy dobrej jest w dobrym nastroju, a przy złej w złym, to nie można się dziwić, że ludzie, mknący po pustkowiu i wystawieni na działanie zawieruchy i ulewy, ulegają ponurym myślom. Dlatego jechaliśmy milcząco i markotni za Winnetou, który mimo deszczu uniemożliwiającego widoczność na odległość pięciu kroków, nie zatrzymał się ani razu dla orientacji. Długo i na próżno mógłbym szukać w pamięci i nie przypomniałbym sobie wypadku, aby Apacz zabłądził wówczas, gdy twierdził, że zna drogę czy miejsce.

O świcie znaleźliśmy się na rozległej prerii. Winnetou wskazał ręką na lewo, na wschód i rzekł:

— Tam przebiega droga, którą wczoraj przebyliśmy przed spotkaniem z Dunkerem. Jest już jasno, możemy więc przyspieszyć jazdę.

Jechaliśmy teraz z prędkością dziesięciu mil na godzinę. Ku naszemu zadowoleniu przed południem wiatr się uspokoił. Deszcz również przestał padać, chmury rozstały się i rozproszyły przed słońcem. Ciepło świetnie na nas podziałało, deszcz zaś spełnił swoją powinność, zatarłszy nasze ślady. Na długo przed południem Winnetou wskazał na wschód, gdzie nic zresztą nie było widać, i powiedział:

— O godzinę drogi stąd wznosi się las, na którego skraju spotkaliśmy wodza Nijorów. Moi bracia przyznają, że jechaliśmy dobrze, nieprawdaż?

Las, który niebawem ujrzelśmy, biegł na południe. Minęliśmy go na przełaj i w południe zatrzymaliśmy się na jego przeciwległym krańcu, aby dać wytchnienie koniom. Po niespełna dwóch godzinach odpoczynku podjęliśmy przerwana jazdę, ale tym razem w kierunku południowo—wschodnim. Na moje zapytanie Winnetou wyjaśnił powód zmiany kierunku:

— Ujechaliśmy szmat drogi i nie ma obawy, aby Mogollonowie natknęli się dzisiaj na nasze ślady. Dlatego wjechałem na ich szlak, gdyż poznanie go może się moim braciom przydać.

Kiedy używam słowa szlak, Czytelnik nie powinien sobie wyobrażać utorowanej drogi. Znaleźliśmy się teraz na wysokim stepie, pełnym piasku i kamieni, a ubogim w trawę. Chwilami natrafialiśmy na wzgórza, które trzeba było omijać. Nie można też było dojrzeć prawdziwych gór Mogollon, a z północnego wschodu gór Sierra Blanca. Mknęliśmy ku obszarom górnej Gila, nie spotykając zresztą nigdzie ani strumyka, ani też źródła.

Dopiero przed wieczorem wjechaliśmy na małą prerię. Ujrzelśmy niewielkie zarośla. U stóp wzgórza biło źródło. A zatem był to teren nadający się do obozowania.

— Zatrzymujemy się? — zapytał Emery.

— Nie — odparł Winnetou.

— Ale moglibyśmy chociaż napić konie!

— Tego Winnetou nie broni. Ale zaraz potem jedziemy dalej, aby jeszcze przed zapadnięciem zmroku przebyć las, który widzicie tam na południu. Uff! Prędej z koni!

Mówiąc o lesie, leżącym na południu, skierował tam spojrzenie, a my za nim. I oto spostrzegliśmy pięciu zbliżających się jeźdźców. Nie zobaczyli nas jeszcze, ponieważ staliśmy w zagajniku otaczającym źródło. Zeskoczyliśmy z koni i schwyciliśmy za broń. Wyczekiwaliśmy, ukryci za krzewami.

Jeźdźcy dosiadali świetnych rumaków. Nie mieli broni palnej, ale po bokach wisały torby wypchane zapasem żywności.

— Wywiadowcy — rzekłem.

— Nijorowie — potwierdził Winnetou. — Nie noszą żadnej barwy, ale nie mogą należeć do innego plemienia. Mimo że są naszymi przyjaciółmi, musimy im dać nauczkę.

Miał słuszość. Wywiadowcy powinni być szczególnie przezorni. A oni co? Nawet z bliskiej odległości nie spostrzegli, że nad źródłem ukrywają się ludzie. Nas samych, oczywiście, nie mogli zobaczyć, ale doświadczone oko dostrzegłoby teraz ślad, wijący się wśród niskiej trawy ciemną linią. Oni zaś jechali tak pewni siebie, jak gdyby znajdowali się w pobliżu swej wioski. Kiedy zbliżyli się na dwadzieścia kroków, wysunęliśmy lufy strzelb poprzez krzewy i Winnetou zawołał w narzeczu Mogollonów:

— Stójcie! Ani kroku naprzód i ani jednego w tył, bo was zastrzelimy!

Przerażeni wywiadowcy osadzili na miejscu konie i spojrzeli bezradnie na zagajnik.

Który zawróci konia, dostanie pierwszą kulą — groził Winnetou. — Zejździe z koni i rzućcie na bok swoje noże!

— Któż to ukrywa się w tym zagajniku? — zapytał jeden u Nijorów.

Jest nas dziesięciu mężnych wojowników Mogollonów. Posiadamy świetne strzelby. Jeśli nie usłuchacie, jesteście zgubieni. Nie możecie iść ani do przodu, ani cofać się wstecz, przeciwnie nasze kule trafią was niechybnie.

— Uff! Wielki Manitu opuścił nas. Chciał, abyśmy zostali jeńcami Mogollonów. Lecz nasi bracia nas odbiją!

Ten, który to powiedział, zsiadł z konia, wyciągnął nóż i rzucił za siebie. Pozostali poszli za jego przykładem. Stanęli przed swymi końmi i zrezygnowani oczekiwali wrogów. Wówczas wystąpił naprzód Winnetou. Trzymał strzelbę w ręku, ale skierowaną lufą w dół, i rzekł karcącym głosem:

— Czy ludzie, którzy tak ślepo biegną w objęcia śmierci, zasługują na miano wojowników? Czy można takich ludzi wysyłać na zwiady?

— Uff! Uff! — zawołał jeden z nich. — Winnetou, wódz Apaczów!

Kazano wam wybadać, co robią Mogollonowie, a mieliście zamknięte oczy, jadąc na oślepi przed siebie.

Wiemy, że Mogollonowie zamierzają wyruszyć przeciwko nam dopiero za trzy dni — usiłował usprawiedliwić się jeden z Nijorów.

— Czy z tego powodu należało zaniewidzieć? Powinniście mieć na uwadze, że i oni wysyłają wywiadowców.

Poczynaliście sobie beztrzesko jak chłopcy, którzy nie zdobyli jeszcze imienia. Gdybyśmy istotnie byli waszymi wrogami, nie wrócilibyście już do swoich. Zabilibyśmy was albo musielibyście jechać z nami, by umrzeć przy palu męczarni.

— Nasz wielki brat może nas natychmiast zabić. Lepsze to niż wysłuchiwanie słów, którymi do nas przemawia.

Nie był to pusty frazes. Mówił z całą powagą. Być przyłapanym na niedbalstwie i skarconym przez Winnetou — to ogromna hańba. Biedni Indianie spoglądali w ziemię, straszliwie przygnębieni. Serce Apacza zmiękło z litości. Odparł nieco łagodniej:

— Winnetou nie jest waszym wodzem. Nie chce wam urągać, jedynie pragnie zwrócić waszą uwagę, że nawet w czasie pokoju, nawet w pobliżu własnego obozu należy mieć oczy otwarte. Kto was wysłał na zwiady?

— Szybka Strzała, nasz wódz.

— Czy przyprowadził z sobą jakichś ludzi do obozu?

— Młodego białego i białego jeńca, którego nasi wojownicy bardzo pilnie strzegą.

— Czy wiecie, kto mu tych ludzi wydał?

— Tak.

— A więc wiecie, kto jest wraz ze mną, tam w zagajniku?

— Old Shatterhand i jeszcze jeden mężny wojownik.

— Słusznie powiedziałaś. Towarzyszy nam ponadto wojownik, który potrafi wytropić najbardziej niewidoczne ślady. Podnieście wasze noże i podejdźcie z końmi do wody!

Usłuchali polecenia Winnetou natychmiast. Powitali nas pełnymi uszanowania gestami i stali ze spuszczoneymi oczami, niepewni naszej reakcji. Byli zawstydzeni. Pragnąc podnieść ich na duchu, podałem jednemu za drugim dłoń i rzekłem:

— Moi bracia są mile przez nas widziani. Mogą się do nas przysiąc i powiedzieć, jakich wskazówek udzielił im ich mężny i mądry wódz.

Mój przyjazny ton i ta okoliczność, że Emery i Dunker również uściskali im dłonie, podziałały na nich pocieszająco, Puścili konie na łąkę, a ten, który poprzednio mówił z Winnetou, odezwał się:

— Nasze oczy ujrzały najmężniejszych myśliwych i wojowników, których sławą rozbrzmiewają góry i sawanny. Nie powinniśmy obozować u ich boku. Niech nam pozwolą usiąść opodal przy wodzie, abyśmy mogli oglądać ich oblicza i słuchać mądrości: ich słów.

— Moi bracia staną się wnet równiej znakomitymi mężami. Mogą usiąść przy nas, inaczej będziemy sądzić, że uważają nas za wrogów.

Nie mogli się wymówić. Usiedliśmy koło źródła, oni zaś w odległości, jaką; zalecał szacunek. Winnetou powtórzył moje pytanie, dotyczące polecenia ich; wodza. Nijora oświadczył:

— Szybka Strzała nie dał nam szczególnych poleceń. Mieliśmy jechać do Jasnej Skały lub jeśli Mogollonowie już ją opuścili, poszukać ich i zasięgnąć wyczerpujących informacji.

— Czy chcieliście jechać tam wszyscy razem? — pytał dalej Winnetou.

— Najpierw razem, a później mieliśmy wysłać po kolei gońców z wiadomościami, tak że zanim Mogollonowie dotarliby do Mroczej Doliny, wyprzedziłoby ich pięciu gońców. Posłańcy mieli dotrzeć tylko do Mroczej Doliny, nie zaś do waszej wioski?

— Zgadza się. Tam czeka na nich wódz.

— Z wieloma wojownikami?

— Teraz z niewieloma. Reszta pozostała jeszcze w wiosce, aby przygotować mięso i leki wojenne. Szybka Strzała powiedział, że prawdopodobnie przyłączą się do nas słynni wojownicy i będą walczyć wraz z nami.

Ponieważ, mówiąc to, spojrział na mnie pytająco, przeto rzekłem:

— Podążamy do synów Nijora. Chcieliśmy wam przynieść wieści i wesprzeć was radą i czynem, abyście odnieśli zwycięstwo, albowiem wypaliliśmy z waszym wodzem kalumet.

Ale skoro was spotkaliśmy, możemy nie jechać do Mroczonej Doliny. Jeden z was natychmiast wróci, aby oznajmić wodzowi to, co mamy mu do powiedzenia, pozostali czterej pozostaną z nami. Zawrócimy z drogi i pojedziemy znów na północ, aby odszukać i śledzić Mogollonów. Ilu wojowników możecie zwołać?

— Czterykroć po stu.

— Jeśli dobrze się zorientowałem, Mogollonowie nie ściągną takiej liczby; Nie znam Mroczonej Doliny, w której zamierzacie ich napaść, ale skoro wybrał ją Szybka Strzała, musi nadawać się na pole bitwy.

— Nadaje się bardzo, ale nie w obecnych okolicznościach odezwał się Winnetou. — Mogollonowie dążą tam również, wyślą więc wywiadowców, aby przetrząsnęli dokładnie okolicę. Dlatego lepiej napaść na nich przedtem, to znaczy wówczas, kiedy nie będą się jeszcze spodziewali wrogów.

— Czy znasz takie miejsce? — zapytałem.

— Tak. Miejsce to zowie się Łysiną Kanionu i leży o dwie godziny drogi od Mroczonej Doliny. Jest to trójkąt o skalistym gruncie. Jeden jego bok stanowi kanion o tak stromych ścianach, że niepodobna się po nich wdrapać, z drugiej strony skała wznosi się w górę niczym mur, przez który tylko piechur może się, i to z wielkim wysiłkiem, przedostać, natomiast nigdy jeździec. Na Łysinę Kanionu można się wspiąć idącym stromo pod górę wąwozem, tak wąskim, że miejsca starczy tam tylko na dwie osoby. Jeśli ktoś wejdzie na Łysinę Kanionu, ma z prawej strony głęboki kanion, przed sobą stromą skałę, a z lewej strony trzeci bok trójkąta. Stanowi go las, którego skraj jest gęsto zarośnięty krzewami. Kto zaś chce zjechać z Łysiny Kanionu, musi jechać nad kanionem do miejsca, gdzie ściana skalna doń się zbliża. Między nią a kanionem zaczyna się druga, również wąska ścieżka, która prowadzi na dół na drugą stronę, a następnie do Mroczonej Doliny. Mój brat Szarlieh przyzna, że Łysiną Kanionu świetnie się nadaje do okrążenia i pokonania wrogów.

— Słusznie mówisz — odpowiedziałem. — Nie znam ani Łysiny Kanionu, ani też Mroczonej Doliny, nie wiem więc, która miejscowość jest odpowiedniejsza. Ale skoro mój czerwony Wat poleca pierwszą z nich, nie wątpię, że nadaje się bardziej. Co teraz zaproponuje nam Winnetou?

Jeden z Nijorów wróci do swego wodza i oznajmi mu, że powinien spotkać Mogollonów nie w Mroczonej Dolinie, lecz na Łysinie Kanionu. Wódz musi zatem udać się tam i jedną połowę wojska ukryć w lesie, drugą zaś za wysoką skałą.

— Ale w takim razie nie mogą dosiadać koni.

— Oczywiście, że nie. Zostawią konie pod nadzorem kilku ludzi. Trzystu wojowników wejdzie na Łysinę Kanionu, gdzie się podzielią. Stu pięćdziesięciu zaszyje się w lasku, a druga połowa zaczai się za ścianą skalną. Skoro Mogollonowie wejdą na Łysinę Kanionu, będą mieli przed sobą wrogów, z lewej strony również wrogów, a z prawej głęboki kanion.

— Jeśli pojedą naprzód, niechybnie zginą, lecz... czy nie mogą cofnąć się do wąwozu?

— Nie. Nie mogą.

— Dlaczego?

— Mój brat pyta o to? Czy się nie domyśla?

— Mogę się domyślać, gdyż Winnetou mówił o trzystu Nijorach, podczas gdy jest ich jak się dowiedzieliśmy, czterystu. A więc czwarta setka ma prawdopodobnie czatować na dole w wąwozie i nie wypuścić wrogów, jeśli już odważą się wejść na górę.

— Mój brat odgadł prawidłowo, ale czy nie myśli, że ta setka powinna ukryć się tam na krótko przed przybyciem wrogów?

— Nie, gdyż ślady mogłyby ich szybko zdradzić. Zresztą, sądzę, że stałoby się dobrze, gdybyśmy mieli ich przy sobie.

— Otóż właśnie! Teraz zawrócimy z drogi, aby śledzić Mogollonów. Zawiadomimy Szybką Strzałę, aby nadesłał nam stu wojowników, gdyż będą nam potrzebni.

— Podzielam twoje zdanie. Wszakże nie powinni jechać tą samą drogą, którą przybędą nieprzyjaciele, bo jeszcze mogą się na nich przez przypadek natknąć.

— To prawda. Będą musieli obrać inną drogę.

— My zaś wyznaczymy im miejsce spotkania.

— Myślałem już o tym — rzekł Winnetou i zwracając się do Nijorów, zapytał: — Czy moi bracia znają Pinun–Tota?

— Tak — odrzekli zgodnie. — Pinun–Tota, czyli wzniesienie nazywane Wężową Górą.

— Tam właśnie powinien Szybka Strzała wysłać stu wojowników, i to natychmiast po przybyciu posłańca Czy zrozumieliście wszystko, co wam powiedziałem?

— Tak.

— Niech więc jeden z was wyjedzie jako goniec, aby powiadomić wodza.

Ponieważ Winnetou wydał już wszystkie polecenia, więc tylko dodałem.

— Goniec niech powie Szybkiej Strzale, że Mogollonowie są już drodze. Czas więc nagli. Pojedziemy nimi, gdy tylko połączymy się ze stu waszymi wojownikami, i odetnie im drogę powrotną, kiedy już dotrą Łysinę Kanionu. Jak się nazywa ta miejscowość? — zwróciłem się teraz Winnetou.

— Cieniste Źródło.

— A zatem wódz wiedząc, że spotkaliśmy się w Cienistym Źródle, będzie mógł dokładnie określić czas. Muszę mu też przypomnieć, aby bardzo uważnie kazał strzec jeńca, które mu przekazałem. Jeśli bowiem zbiegnie, ponownie niełatwo go będzie schwytać. Jak daleko jest stąd Wężowej Góry?

— Na naszych koniach trzy godziny drogi — odpowiedział Winnetou.

— W jakim kierunku należy jechać?

— Na północny wschód.

— A my przybywamy z północnego zachodu. A zatem droga do Wężowej Góry biegnie w pobliżu puebla, w którym byliśmy?

— Tak.

— Jonatan Melton podążył z pięćdziesięcioma wojownikami w tym kierunku, aby nas schwytać. Hm! Przyszło mi coś na myśl. Jak daleko stąd leży Mroczna Dolina, w której zatrzymał się Szybka Strzała.

— Można tam być po pięciu godzinach.

— Jedziemy natychmiast do Wężowej Góry. Za pięć godzin goniec przybędzie do swego wodza, godzinę pochłona im przygotowania do wymarszu, mogą przeto za jedenaście godzin dojechać do Cienistego Źródła i za czternaście do Wężowej Góry.

— Skąd ten pośpiech? — zapytał Winnetou.

— Dzięki niemu można będzie schwytać Jonatana i jego eskortę.

— Musielibyście jechać za nim aż do puebla — zauważył Emery.

— Dlaczego? Czy myślisz, że tam pojechał?

— Myślę, że tak! Pragnie nas schwytać. Podąży naprzeciw, a ponieważ nas nie spotka, więc dojedzie aż do puebla, gdzie już nas nie zastanie. Kiedy następnie wróci, będzie już po rozprawie z Mogollonami. Dopiero wówczas, a nie wcześniej możemy go spokojnie oczekiwać.

— Zapomniałeś o Judycie — wtrąciłem.

— Ona? Prawdopodobnie wróciła do puebla.

— Nie byłbym tego taki pewny. Raczej przypuszczam, że pojechała do Jasnej Skały — odpowiedziałem.

— A więc sądzisz, że Jumowie ją odnaleźli? — zapytał Emery.

— Najprawdopodobniej. Spieszyła się do Meltona, czyli z pewnością wyruszyła już w drogę. Poza tym jej powrót opóźniły dwa inne ważne powody. Po pierwsze, przebyła już taki szmat drogi, że powrót do puebla zająłby jej nie mniej czasu niż droga do Jasnej Skały. A po

drugie, wie dokładnie, że ścigamy Jonatana. Boi się o niego i pragnie go ostrzec. Dlatego sądzę, że pojechała dalej.

— I co z tego?

— W tym wypadku Melton spotka się z nią po drodze. Dowie się, że podążyliśmy do Jasnej Skały i wróci czym prędzej, aby oznajmić to Mogollonom. Przyznajesz mi słusność czy nie?

— Hm, nie mogę ci jej odmówić. Mów dalej!

— Jeśli moje przypuszczenia są właściwe, to spotkamy Meltona jeszcze zanim połączy się z Mogollonami. Gdy będziemy mieli przy boku stu Nijorów, łatwo poradzimy sobie z Meltonem i jego pięćdziesięciu wojownikami. W takim przypadku osiągniemy podwójną korzyść: uszczuplimy zastępy Mogollonów o tę liczbę wojowników oraz złapiemy Jonatana.

— To brzmi bardzo pięknie. I być może nawet, że masz rację, jak się to najczęściej zdarza. Ale wątpię, czy będzie z tego jakaś korzyść. Jeśli schwytamy wroga, to osłabimy nie tylko nieprzyjaciół, ale także i nas samych, ponieważ będziemy zmuszeni wyznaczyć duży oddział do strzeżenia jeńców.

— Istotnie, przyznaję. A następnie?

— I co z tego będziemy mieli, że schwytamy Meltona o jeden dzień wcześniej? Jeśli mu nie przeszkodzimy, to pojedzie z Mogollonami do Łysiny Kanionu i zostanie tam wraz z nimi okrążony. Tak byłoby o wiele lepiej, gdyż wówczas nie stracilibyśmy zbyt wiele cennego czasu.

To, co mówisz, ma swoje uzasadnienie. Ale czy ten gagatek, skoro znajdzie swoją Judytę, istotnie pojedzie z Mogollonami? Nie jest to tak oczywiste, jak sądzisz. Tak często nam się wymykał, że wołałbym go mieć jak najszybciej.

— Ale sam chyba przyznajesz, że postępowanie takie pomniejszy szeregi Nijorów, których część będzie zmuszona zajmować się jeńcami, a przez to nas osłabi.

— Nie tak bardzo, jak myślisz. Pięćdziesięciu rozbrojonych Indian wymaga nie więcej niż dwudziestu strażników. Zostanie nam jeszcze osiemdziesięciu wojowników.

— A czy uważasz, że tylu nam później wystarczy?

Naturalnie. Nasze zadanie polega przecież tylko na tym, aby Mogollonom, którzy wejdą na Łysinę Kanionu nie pozwolić się cofać. Ponieważ ucieczka jest możliwa jedynie przez wąwóz szerokości dwóch jeźdźców, więc gdy dojdzie do walki, najwyżej tylko sześciu, a nie osiemdziesięciu będzie mogło strzelać. Nie znam tej miejscowości, ale sądząc z opisu Winnetou, podejmuję się z dziesięcioma lub dwunastoma Nijorami bronić wąwozu przed

wszystkimi Mogollonami. Stąd też nie może być mowy o znacznym osłabieniu naszego oddziału.

— Mój brat dobrze mówił — potwierdził dotąd przysłuchujący się rozmowie Winnetou. — Natychmiast podążymy do Wężowej Góry, a wojownicy Nyorów niech czym prędzej udadzą się za nami. Być może, wyślemy do Szybkiej Strzały jeszcze jednego lub kilku gońców.

Słowa Apacza były decydujące. Jeden z Nijorów odjechał, aby poinformować wodza o naszych ustaleniach.

Może się wydać nawet podejrzanym, że dotychczas jeszcze nie wspomniałem o portfelu, który zabrałem z namiotu Meltona. Byłem niezmiernie ciekaw jego zawartości, ale nie uważałem za stosowne otwierać go pod nieobecność prawego właściciela majątku. Zdawało mi się, że towarzysze podzielali mój pogląd, gdyż nie poruszali dotąd tego tematu. Teraz jednak, kiedy staliśmy przy koniach, które piły wodę ze źródła, Dunker rzekł:

Sir, myślimy o wszystkim i wszystkim się zajęliśmy. O jednym jednak zapomnieliśmy, a mianowicie o tym co jest najważniejsze.

— O czym? — zapytałem zdziwiony.

— O pugilaresie. Przecież powinniśmy kiedyś go otworzyć.

— Jego zawartość wcale nas nie dotyczy.

To prawda, ale przynajmniej trzeba zajrzeć, czy jest to rzeczywiście portfel z pieniędzmi. Wszak Melton mógł je schować gdzie indziej.

— Hm, oczywiście mogło się i tak zdarzyć.

— Skoro przyznaje mi pan rację wynika z tego konieczność zajrzenia do środka i upewnienia się, czy ni wiezie pan przypadkiem czegoś innego.

— Byłbym bardziej zadowolony gdybym mógł powiedzieć właścicielowi pieniędzy, że nie otwieraliśmy pugilaresu.

— A to niby dlaczego? Mister Vogel nie będzie nas przecież uważał za oszustów. Niechże pan będzie rozsądny i zajrzy do portfela! Kiedy mam w kieszeni orzech, pragnę się przekonać, czy nie jest wewnątrz pusty. Przypuśćmy, że zabrał pan nie ten pugilares. A więc trzeba rozeznaczyć się w sytuacji, sir! Będzie pan wymyślał różne przyczyny aby nie zajrzeć do środka, a tymczasem prawdziwy skarb, jeśli jest ukryty w innym miejscu, zniknie bez śladu. A kiedy później wręczy pan niewłaściwy portfel mister Voglowi, to nie wiem, czy zechcą panu podziękować za to, żeś się tak trudził, a nawet narażał na próżno swoje życie.

Miał całkowitą słuszność przemawiając do mnie tymi słowami. Wszyscy zresztą podzielali jego zdanie. Wyciągnąłem więc portfel i otworzyłem go. Każda przegródka zawierała skórzaną kopertę, zamkniętą skórzanym języczkiem. Otworzyłem wszystkie i znalazłem w

nich amerykańskie, angielskie, niemieckie, francuskie oraz inne jeszcze banknoty ogromnej wartości. Był to majątek, jaki rzadko kto może trzymać w ręku, oczywiście poza krezusami bankowymi. W okamgnieniu zdałem sobie z tego sprawę.

— Do wszystkich diabłów! — zawołał Dunker, patrząc rozszerzonymi ze zdumienia oczami. — To są naprawdę miliony! Cóż by dał syn mego ojca, aby stary Hunter był jego wujem lub stryjem. Niech pozwoli mi pan chociaż to przeliczyć!

— Nie — odrzekłem. — Wiemy już teraz, że zabrałem właściwy portfel. To nam wystarczy. Niechaj pierwszy przeliczy ten, do kogo pieniądze te prawnie należą.

Włożyłem koperty do przegródek, zamknąłem pugilares i schowałem. W jednym jego przedziale zauważyłem oprócz pieniędzy jakieś papiery, nie wyjąłem ich jednak ze względu na Dunkera. Być może, korzystając z mej dobroduszości, skłoniłby mnie do wyjęcia ich i przeczytania, a nie widziałem takiej potrzeby.

Opuściwszy Cieniste Źródło, pojechaliśmy na północny wschód. Winnetou był nadal naszym przewodnikiem. Zapadła noc. Niebo było usiane gwiazdami, a powietrze tak czyste, że mogliśmy gołym okiem obejmować daleki horyzont. Po zapowiedzianych trzech godzinach szybkiej jazdy wyłoniło się przed nami wysokie i ciemne wzgórze.

— Otóż i Wężowa Góra — rzekł Apacz wskazując przed siebie.

Zakreśliliśmy łuk dookoła wschodniego niskiego podgórze. Dotarłszy do północnej strony góry, mieliśmy ją i jej zalesioną część po lewej ręce. Las wrzynał się licznymi rozgałęzieniami w równinę. Mknęliśmy po niej do źródła, gdzie zamierzaliśmy urządzić postój. Winnetou napomknął, że już wkrótce zbliżymy się do wody. Naraz gwałtownie osadził konia.

— Pst, ani słowa! — szepnął. Wychyliwszy się maksymalnie ku przodowi, przyłożyliśmy ręce do końskich pysków, aby zapobiec parskaniu zwierząt.

— Co to takiego? — zapytałem po cichu. — Czy widziałeś coś?

— Nie, poczułem.

Wciągnął w nozdrza powietrze i powiedział:

— Czuję ogień.

— Gdzie?

— Wprost przed nami. Pewnie nad źródłem. Niechaj moi bracia tutaj na mnie poczekają!

Zeskoczył z konia i podał mi cugle do przytrzymania.

— Czy do źródła jest tak blisko, że może dotrzeć tam parskanie naszych koni?

— Wprawne ucho usłyszy z pewnością. Dlatego lepiej będzie, jeśli cofniecie się nieco.

Winnetou znikł wśród zarośli, które zamierzaliśmy objechać. Cofnęliśmy się i zatrzymawszy w wystarczającej, jak sądziłem, odległości, czekaliśmy na Apacza. Upłynęła długa chwila, zanim wrócił. Ja osobiście nic nie czułem. On, człowiek natury, miał tak wyćwiczone i czułe zmysły, że czasem po prostu nie mogłem wyjść z podziwu, wrócił wreszcie i siadł wyprostowany. Co było nieomylnym znakiem, że żadne niebezpieczeństwo w tym miejscu nam nie grozi.

— Moi bracia ucieszą się, skoro im powiem, kogo widziałem — rzekł po chwili.

No, kogo? zapytał Dunker, nie umiejący powstrzymać ogromnej ciekawości.

— Squaw, która zwie się Judytą.

— Do wszystkich par diabłów! Chętnie bym ją zobaczył. Naopowiadaliście mi tyle o owej osobliwej damie, że ochota mnie bierze spotkać się z nią oko w oko.

— Nie minie to pana, mister Dunker — rzekł Emery. — Nie tylko ją pan zobaczy, ale nawet będzie mógł z nią porozmawiać.

— Jak to porozmawiać? — zapytałem.

No, wreszcie schwytały tę gołębicę! Jeśli pozostanie na wolności, może nam wyrządzić jeszcze niejedną krzywdę.

— Wątpię. Przecież mamy wreszcie schwytać naszego drogiego Jonatana.

— No właśnie!

Melton wyjechał na nasze spotkanie. O ile nikogo w drodze nie znajdzie, pomyśli, że jesteśmy jeszcze w pueblu, i tam pojedzie. Jeśli pozwolimy mu oddalić się tak daleko, może uciec, a nawet śmiem twierdzić, że ucieknie na pewno. Natomiast, jeśli spotka swoją Judytę, dowie się od niej, że jesteśmy tutaj. Nie pojedzie do puebla, tylko zostanie na miejscu, aby na czele Mogollonów nas schwytać. Czy tego nie pojmujesz?

— Miałbyś słuszność, gdyby sprawdziło się twoje przypuszczenie, że Jonatan spotka się z Judytą. Ale czy to takie pewne?

No, niezbyt — przyznałem nieco stropiony.

— A zatem lepiej natychmiast ująć Judytę! — zawyrokował Emery.

— Nie odezwał się Winnetou. — Nie powinniśmy tego robić, albowiem spotka się z Meltonem na pewno.

Przemówił z taką pewnością, że nawet się zdziwiłem.

— Mój brat, zdaje się, nawet o tym nie wątpi? Przyznaję, że ja nie jestem o tym tak przekonany.

Jeśli Jonatan nie jest ślepy i jego pięćdziesięciu Mogollonów również posiada oczy, to na pewno natkną się na białą squaw. Powiedziałem już, że droga do puebla leży w odległości pół

godziny jazdy. Równina jest całkiem monotonna, pozbawiona zarówno skał, jak również drzew i krzewów. Biała squaw rozpałała takie ognisko, że można by przy nim upiec wielkiego bawołu i widać je z odległości większej niż ta, na której leży droga do puebla.

— Czyli doskonale się składa! Kiedy Melton będzie tamtędy przejeżdżał lub znajdzie się w pobliżu, od razu zobaczy ognisko. Ale co będzie, jeśli przejechał już wcześniej lub jeśli w ogóle nie przyjedzie?

— Nie mógł jeszcze przejeżdżać tą drogą. Byliśmy wprawdzie daleko, aż koło Cienistego Źródła, ale dosiadamy ręcznych koni, a poza tym spieszyliśmy się. Melton i jego oddział nie mają takich wierzchowców. Nic ich też szczególnie nie ponaglało. Jeśli, jak przypuszczam, jechali z normalną szybkością, to nie mogli jeszcze minąć tej okolicy. A ponieważ źródło, nad którym obozuje Judyta ze swoimi Indianami, posiada najlepszą wodę w okolicy, a ponadto Mogollonowie przyjadą tutaj na czas wypoczynku, więc jest całkiem prawdopodobne, że skierują się właśnie ku tej wodzie.

— Jest to dla nas korzystny układ — uśmiechnął się Anglik. — Za jednym pociągnięciem schwytny całą klikę: Judytę, Jonatana, Jumów i Mogollonów.

— Ciszej! — przerwałem mu. — Przede wszystkim nie ma tu jeszcze tych, których chcesz schwytać, a następnie zachodzi pytanie, czy w ogóle wszyscy z nich się tutaj zjawia.

— No tak, więc co robimy? — zapytał.

— Czekamy, to wszystko. Chciałbym się teraz podkraść do biwaku Judyty. Winnetou był już tam, zna okolicę, więc zaprowadzi mnie. Nie wiadomo, co może się zdarzyć, dlatego trzeba dokładnie wy badać, gdzie będzie można najbezpieczniej urządzić nasz postój.

Objechawszy wschodnie zbocze wzgórza, znaleźliśmy się na stronie południowej, gdzie nic nam nie mogło zagrażać. Zsiedliśmy z koni. Emery i Dunker musieli tu pozostać wraz z czterema Nijorami, ja zaś i Winnetou ruszyliśmy znów na drugą stronę.

Dotarliśmy do miejsca, w którym Winnetou wyczuł zapach ogniska. Tym razem Apacz nie obrał poprzedniej drogi, lecz poszedł na lewo ku stromemu zboczu, gdzie wznosiły się drzewa. Nie świeciły już nad nami gwiazdy, dookoła zalegał mrok. Po ciemku posuwaliśmy się dalej. Winnetou szedł pierwszy, a ja za nim. Tak upłynął kwadrans, ponieważ musieliśmy się mieć na ostrożności i posuwać bardzo powoli.

Wreszcie między drzewami zobaczyliśmy blask ogniska. Teraz widząc dokładniej, mogliśmy poruszać się szybciej. Ale jednocześnie zmuszeni byliśmy podwoić czujność. Kryliśmy się w cieniu drzew i krzewów. W pewnej chwili, gdy przysunąłem się do Winnetou, odwrócił głowę i szepnął:

— Uraduje mego brata położenie miejsca, do którego go prowadzę, bowiem rzadko chyba widział tak dogodne stanowisko do podglądania.

Miał słusność. Leżeliśmy na wysokości czterech łokci powyżej obozu Judyty. Pod nami ze skały sączyła się woda. Zdawało się, że z naszego miejsca nie ma zejścia na dół, ale tak się tylko pozornie wydawało, gdyż właściwie rosły tu sosny, tak gęsto obok siebie, że rozpościerając swe gałęzie nisko nad ziemią, tworzyły dzięki temu najlepszą, jaką można sobie wymarzyć kryjówkę.

Winnetou znikł pod najniższymi gałązkami. Poszedłem za jego przykładem. Posuwaliśmy się pod ich osłoną, aż wreszcie dotarliśmy do ostatnich pni na dole.

W pobliżu, z lewej strony biło ze skały źródło, na prawo wznosiła się góra. Źródło rozlewało się następnie w jezioro szerokie na trzy łokcie, skąd brał początek strumień. Po drugiej stronie tego jeziora siedziała piękna Judyta przed szałasem, skleconym przez Jumów z na ukos splecionych gałęzi drzew i krzewów. Koło Judyty przykucnął Indianin. Rozmawiali. Płomienie ogniska oświetlały teren wokół i strzelały w górę jasnymi językami. Winnetou miał rację. Przy tym ogniu można było upiec całego bawołu. Tak beztrudno postępować mogli tylko Jumowie, którzy mieszkając w pueblu zapomnieli o swych dawnych zwyczajach i ostrożności. Siedzieli dookoła buchającego płomienia, który, zdawało się, dosięgał nieba. Chociaż Judyta rozmawiała z czerwonoskórym po cichu, słyszeliśmy wszystko doskonale, leżeliśmy bowiem w odległości zaledwie trzech metrów od nich. Towarzyszący jej Jurna był znanym nam gospodarzem, w którego to domu, niedaleko puebla, napadli na nas Indianie z jego plemienia.

— Czyż to miejsce nie jest piękne i zarazem wygodne? — szepnął Winnetou.

— Wyśmienite! Znasz je od dawna?

— Nie. Poprzednio leżałem po przeciwległej stronie ogniska w zagajniku. Stamtąd też zobaczyłem sosny i od razu pomyślałem sobie, że stanowią pewną kryjówkę. Źródło natomiast istotnie znam od dawna, ale kiedy zawitałem tu przed laty, drzewa nie były jeszcze tak rosłe i wspaniałe.

Tak, nasze stanowisko było jak gdyby stworzone do podpatrywania, chociaż ściągało na nas jedno wielkie niebezpieczeństwo. Gałęzie, które służyły za osłonę, rosły tak nisko nad ziemią, że prawdziwą sztuką było przekraść się pod nimi, nie poruszając ich i nie powodując najmniejszego szelestu. Ale Winnetou z wszelkimi trudnościami radził sobie po mistrzowsku.

A zatem poszczęściło się nam od razu, ale bardziej, o wiele bardziej, kiedy zaczęliśmy podsłuchiwać. Z początku Judyta i Jurna rozmawiali właśnie o nas. Słyszeliśmy, jak Indianin rzekł:

— Senior Melton źle postępował. Nie u mnie należało napaść na owe psy. Dom dawał im osłonę przed atakiem, mogli się bronić, a przy tym zwietrzyli, że muszą się mieć na baczności.

— Chcieliśmy ująć ich żywych — odrzekła Judyta.

— I to był błąd. Przecież i tak mieli umrzeć. Dlaczego więc nie od razu?

— Masz rację. Toteż później bardzo tego żałowałam. Skłoniliśmy ich do ostrożności i to ona była powodem, że uszli cało. Ale nie wymkną się nam powtórnie!

— A wówczas wieczorem, tam nad skałą! Z jaką łatwością można ich było zastrzelić! Ale chcieliście czekać, aż zasną. To był kolejny, nie do naprawienia błąd. Wokół panowała głęboka ciemność, a wicher wył tak przeraźliwie, że na pewno nie zauważono by nas, kiedy byśmy się zbliżyli. Mogliśmy podkraść się na odległość paru kroków, a wtedy nie zmarnowałyby się żadna kula. Z nadmiernej przezorności odstępiliśmy od tego zamiaru. Te psy zapędziły w kozi róg i nas, i całą naszą przebiegłość.

— Ale nic nam się nie stało, chociaż mogliśmy przecież zginąć.

— Obawiają się zemsty i nie znoszą; widoku krwi. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy ich koło Jasnej Skały. Niech inni martwią się tym, co się stało; ja patrzę tylko w przyszłość i wiem, że zdobędę skalpy Winnetou i pozostałych białych twarzy.

To mówiąc wyciągnął nóż z pochwy i wściekłym gestem przeszył nim powietrze. Był niezmiernie zawzięty. Co mu właściwie zrobiliśmy, że pałał do nas taką nienawiścią? Nic, kompletnie nic. Spowodować ją mogła jedynie pomoc, niesiona przez nas hacjenderowi z Sonory oraz nieszczęsnym emigrantom. Ale od tego czasu upłynęło wiele miesięcy. Oszczędzaliśmy Jumów wbrew obyczajom prerii. Zawarliśmy z nimi pokój. Ten człowiek był szczególnie brutalny, dużo bardziej ponad indiańską miarę. Kiedy przyjrzałem się zaciętemu wyrazowi jego twarzy, zrozumiałem, dlaczego opuściła go żona.

— Wątpię, czy dostaniesz te skalpy — odpowiedziała po krótkiej chwili jego władczyni.

— A to dlaczego?

— Nie jesteś sam. Gdy tylko przybędziemy do Jasnej Skały i opowiem seniorowi Meltonowi i Mogollonom, że szubrawcy uciekli i jadą do nich, natychmiast rozpocznie się wielka obława. A wówczas skalpy zedrą z nich Mogollonowie.

— Zadowolę się tym, że zobaczę właścicieli skalpów przy palu męczeńskim. Pragnę, aby...

Nie mógł dokończyć zdania, ponieważ nagle przy ognisku rozległo się głośne: „Uff, uff, uff!” Jumowie skoczyli jak oparzeni, z ogromnym zaskoczeniem na twarzy. Po chwili jednak

oblicza ich rozjaśnił uśmiech, a ich uradowane spojrzenia skierowane były na człowieka, który wyszedł z zagajnika. Widzieliśmy go także. Był to Melton.

— Jonatan! — krzyknęła Judyta, zrywając się momentalnie z ziemi.

— Judyta!,— odkrzyknął Melton. Padli sobie w objęcia. Odpowiedzi ich krzyżowały się z pytaniami:

— Skąd przybyłaś? — zapytał.

— Z puebla. A ty?

— Z Jasnej Skały. Dokąd dążysz?

— Do Mogollonów. A ty?

— Do puebla, do ciebie.

— Dlaczego chcesz wracać, skoro tak szczęśliwie się wymknałeś?

— Ponieważ chcę mieć tych, przed którymi uciekłem.

— Nie ma już ich tam. Podążyli do Jasnej Skały.

— Do stu tysięcy piorunów! Czy wyprzedzili was, czy też są za wami?

— Wyprzedzili nas.

— A zatem z puebla wyruszyli wcześniej?

— Tak.

— Jak dawno?

— Wyjechaliśmy natychmiast po nich. Lękałam się o ciebie.

— A więc nie dotarli jeszcze do Jasnej Skały.

— To mało prawdopodobne, albowiem znacznie nas ubiegli. Schwytali mnie po drodze i zawlekli na pustkowie, gdzie pozostawili na pastwę losu. Nie znałam tamtej okolicy. Błąkałam się przez cały dzień po bezdrożach. Potem całą noc przeleżałam sama jedna pod gołym niebem — to było straszne — aż w końcu znaleźli mnie moi Jumowie. To wszystko pozwoliło wrogom wyprzedzić nas o przeszło dzień drogi.

— A zatem mogli już dziś rano przybyć do Jasnej Skały! Kto by to pomyślał! Nie spotkaliśmy żadnych śladów. Musisz mi to wszystko dokładnie opowiedzieć. Ale powiedz mi przede wszystkim, czy Vogel tkwi wciąż jeszcze w korytarzu puebla?

— Nie, znaleźli go i uwolnili.

Tupnął nogą o ziemię i zawołał z wściekłością:

— Diabeł musiał im chyba wskazać drogę albo ty!

— Nie mogę zarzucić sobie braku rozwagi! — odparła Judyta. — Nie uwierzysz, jak byłam przez nich traktowana. Odkryli drogę, która prowadziła z mojej kuchni na dół, a nawet drogę wodną.

— Tym bardziej muszę ich schwytać. Muszę, muszę! Niech wezmą tę tajemnicę z sobą do grobu, inaczej bowiem w żadnym zakątku ziemi nie będę bezpieczny! Ale dlaczego nie ma przy tobie mojego ojca?

— Ojciec twój jest z nimi. Zaskoczyli go w mieszkaniu, związali, zakneblowali i uprowadzili z sobą.

— To jest... jest... niestety, nieszczęście na które... nie byłem przygotowany! — wykrztusił. — Dobrze przynajmniej, że ojciec schował pieniądze między cholewy butów!

— Dobrali się i do nich — wyznała cicho Judyta.

— W takim razie te łotry są w sojuszu z całą mocą piekieł! Ja... ja muszę usiąść.

Bardziej zabolął go fakt, że pieniądze zostały znalezione i odebrane, niż to, że jego ojciec został schwytany. Judyta zaprowadziła go do szałasu. Usiadł przed nim, ona zaś stanęła obok niego. Nie zwracał na nią żadnej uwagi. Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Judyta namawiała go, aby się uspokoił, ale nie odpowiadał, nie drgnął nawet.

Przysunąłem głowę do Winnetou i szepnąłem mu do ucha:

— Może go teraz schwytemy? To byłoby proste. Wskoczymy z ukrycia, uchwycimy za kołnierz i znikniemy z nim w lesie, gdzie nas już nie znajdą. Zarówno on, jak i Indianie znieruchomieją ze strachu.

— Tak, udałoby się nam na pewno, ale jednak zaniechajmy tej myśli.

— Dlaczego? — zdziwiłem się nieco.

— Ponieważ nie powinniśmy się jeszcze pokazywać. Gdy tylko Mogollonowie dowiedzą się, że tu jesteśmy, staną się ostrożni i udaremnią nasz świetny plan.

— Tak, to prawda. Musimy więc z tego zrezygnować, choć bardzo żałuję, albowiem moglibyśmy mieć Jonatana w ręku tak szybko i łatwo. I tak pewnie...

— Niebawem dostaniemy go w swoje ręce. Winnetou wie już, gdzie i jak to się stanie. Będziemy mieli nie tylko jego samego, ale także pięćdziesięciu Mogollonów. Może brat mój uważa, że i oni są już tutaj?

— Nie sądzę. Jest tak, jak poprzednio przewidziałeś. Jonatan przybył do tej miejscowości, zobaczył ognisko i... posłuchajże!

Melton tymczasem uspokoił się znacznie. Kazał Judycie opowiedzieć dokładnie przebieg wypadków, od momentu gdy wyjechał z puebla. Mówiąc o nas, wyrażał się tak, że niepodobna tego powtórzyć. Potem słuchał nie przerywając ani słowem, chłonąc każde jej zdanie w milczeniu. Kiedy skończyła, odezwał się cicho:

— Staralaś się zapobiec nieszczęściu. Nie mogę cię potępić. Te szuje są ludźmi szczególnej kategorii. My, to znaczy ojciec, stryj i ja, postępowaliśmy wobec nich

niewłaściwie, przeciwnie bowiem moglibyśmy teraz w spokoju i pewności korzystać z majątku. Skoro nie mogliśmy skończyć z nimi w Tunisie, powinniśmy byli przede wszystkim porzucić wszystkie inne sprawy i załatwić z nimi porachunki. Apacz leżał chory w Anglii, wiedzieliśmy o tym. Mogliśmy tam pojechać i... Nikt nie pisałby słowa w ich obronie. A następnie później, trzeba było zostać w Nowym Orleanie i obrać zgoła inną drogę postępowania. Podstawową sprawą było usunięcie Old Shatterhanda i Winnetou. Anglika mogliśmy się nie obawiać. Ten brak przedsiębiorczości mści się teraz na nas!

— Nie mów tak — dodawała mu otuchy Judyta. — Co jest, mówiąc właściwie, straconego? Tymczasem jeszcze nic, absolutnie nic!

— Stracona jest chociażby kwota, którą miał przy sobie ojciec.

— Wcale nie! Gdy te szelmy wpadną w twoje ręce, odzyskasz z powrotem pieniądze, zagrabione twemu ojcu. Musisz go uwolnić, musisz!

— Spojrzał na nią dziwnym spojrzeniem i zapytał:

— Czy tak bardzo ci na nim zależy?

— Na nim nie, ale na tobie i na pieniądzach.

— Otóż właśnie, mogą z nim zrobić, co tylko zechcą! Nie będę się wcale nad tym zastanawiał. Czy myślisz, że czuję się przy nim pewnie?

— Nie? zapytała zdumiona. Nie! Wprawdzie nie przyznał się do zbrodni, którą zwałił na Old Shatterhanda i Winnetou, ale ja wiem dobrze, że to właśnie on zakatrupił swojego brata, aby się samemu uratować i zagarnąć jego pieniądze. Bratobójca może równie łatwo zgładzić własnego syna.

— O niebiosa! — zawołała. — Uważasz to za możliwe?

Oczywiście. Potrafi ukraść mi pieniądze i zbiec. Dlatego pojechałem z tobą, nie z nim. Dlatego w pueblu nie powinien był wiedzieć, gdzie ukryłem pieniądze. Gdybym z nim mieszkał, nie mógłbym ani przez godzinę spać spokojnie. Gdyby szło o jego życie, potrafiłby zdobyć się nie tylko na rabunek, ale nawet na synobójstwo. Oczywiście oswobodzę go, chociaż wbrew sobie, gdy tylko schwytam naszych wrogów, ale potem rozstanę się z nim na zawsze. Dostanie tyle, aby mógł żyć spokojnie, lecz nie dam mu sposobności do zagarnięcia większej: sumy. Dostanie o tym! Najważniejszą teraz rzeczą jest to, że nasi prześladowcy są w Jasnej Skale. Jak to dobrze, że zabraliśmy adwokata i śpiewaczkę!

— Jakiego adwokata? Jaką śpiewaczkę? wykrzyknęła Judyta.

— Pytasz... Ach, tak, nie możesz przecież o tym wiedzieć. Pomyśl tylko, Murphy udał się za nami w pościg!

— On? Czy oszalał?

— Chyba, inaczej bowiem nie zapuszczałyby się na takie pustkowie. Q Albuquerque spotkał siostrę Vogla.

— I ona pojechała z nim? dokończyła zdanie Judyta. — Czy to ich spotkałeś w drodze?

— Tak. Wpadli w ręce Mogollonów. Oczywiście, nie wrócą już z powrotem. Dopiero podczas wyprawy wojenni...

— Wyprawy wojennej? przerwała Judyta.

— Tak. Mogollonowie wyruszyli przeciwko Nijorom. Starcy, kobiety i dzieci zostali oczywiście na miejscu, a z nimi mieli pozostać jeńcy — śpiewaczka i adwokat, ale udało mi się nakłonić wodza, aby zabrał ich z sobą. A zatem Winnetou i jego kamraci nie zastaną już w Jasnej Skale swoich znajomych. Murphy i siostra Vogla jechali powozem, kiedy napadli na nich Mogollonowie. Umieszczono ich teraz w tym samym powozie. Wódz z początku niechętnie, ale później całkowicie uległ moim namowom. Silny Wicher— musiał być ongiś wielkim przyjacielem twego męża. Wnioskuje to z wyśmienitego przyjęcia, z jakim się tam spotkałem. Wszelako nie jest to jednak człowiek, którego mógłbym umieścić w moich planach. Wydaje się prostodusznym, surowych zasad Indianinem. Tylko dzięki temu, że przedstawiłem Old Shatterhanda i Winnetou jako przyjaciół i obrońców Nijorów, mogłem w nim wywołać wrogię do nich nastawienie.

— A więc nie obroni ich, skoro wpadną w jego ręce?

— Nie. Musiałem przy tym przywołać na pomoc cały zasób fantazji i pomysłowości. Diabli wiedzą, dlaczego ci dwaj cieszą się takim poważaniem nawet u nieprzyjaznych sobie plemion, że mogą się ważyć na najzuchwalsze nawet, dla innych absolutnie niemożliwe czyny. Wywołałem w wodzu pewną niechęć do nich, ale nie poprzestałem na tym. Wysłałem z palca parę pięknych, wymownych opowiastek, które wywarły odpowiednie wrażenie. Nie byłem pewien, czy moi prześladowcy ścigają mnie. Ale, jak wiadomo, mają kolosalne szczęście w odnajdywaniu śladów. Założyłem, że mogli także wpaść i na mój trop i podążyć do Jasnej Skąty. Musiałem więc postarać się, aby nie powitano ich tam jako przyjaciół, i sądzę, że nie traciłem czasu i wysiłku na próżno.

— Jak ci już powiedziałam, wiedzą, że tam jesteś. Co uczynią, gdy cię nie znajdą?

— Pojadą w ślad za mną.

— Przecież nie wiedzą dokąd!

— Czyżby? Mylisz się ogromnie, jeśli tak sądzisz. Nie ma na całym świecie takich szpiegów i wywiadowców, jak ci dwaj.

— Myślisz, że będą wypytywać o ciebie w obozie Mogollonów?

— Są zbyt ostrożni i dobrze wiedzą, że gdyby rozpytywali o mnie, ktoś z obozu natychmiast pojechałby do wodza i zawiadomił o ich przybyciu. Ci spryciarze nie pytają ludzi. Najmniejsze źdźbło trawy, kamuszek, złamana gałązka lub kałuża powie im wszystko, czego pragną. Możesz mi wierzyć. O tym słyszałem setki razy. A ponadto, być może, Długi Dunker spotkał się z nimi.

— Długi Dunker? Któż to taki?

— Znany przewodnik, który towarzyszył Murphy'emu. Również dostał się do niewoli, ale Mogollonowie tak go kiepsko strzegli, że zdołał w jasny dzień na oczach wszystkich wyrwać się strażnikom, dopaść stojącego nie opodal konia i uciec. Co prawda Indianie natychmiast puścili się za nim w pogoń, ale koło północy wrócili z pustymi rękoma. Jeśli więc Dunker spotkał naszych prześladowców, to na pewno poinformował ich o wszystkim. A wówczas nie pojechali zapewne do Jasnej Skały, lecz skręcili na południe.

— Aby tropić Mogollonów?

— Nie. Wszak wobec takiej przewagi Indian niczego nie dokonają, jakkolwiek są to zuchwalcy, którzy nikogo się nie ulęką. Jeżeli spotkali na swej drodze Dunkera, to pojechali raczej do Nijorów, aby uprzedzić ich o zamiarach Mogollonów.

— Czy uważasz, że przez to coś osiągną?

— Ręczę ci, że osiągnęliby bardzo wiele, a nawet wszystko, gdybym był głupcem i nie miał się na baczności, a więc nie zawiadomił o tym Mogollonów. Pragną mnie schwytać, uwolnić adwokata i śpiewaczkę, ale nie potrafią tego dokonać bez odpowiednio licznej pomocy. Otóż tę pomoc znajdą u Nijorów. Na szczęście, nie mogą się tak szybko poruszać, gdy wloką z sobą jeńca, mego ojca, który będzie im w drodze zawadą. Może myślisz, że się go pozbyli? Przecież wiesz, jak go traktowali w pueblu!

— Bardzo surowo, ale skoro nawet w walce niechętnie zabijają wroga, to tym bardziej nie wierzę; aby teraz zgładzili twego ojca.

— Wolałbym... Pozbyłbym się starego na zawsze i miałbym jego pieniądze, oczywiście dopiero po schwytaniu tych drani. Muszę także zdobyć broń Old Shatterhanda. Powiadają, że dla westmana stanowi ona prawdziwy majątek. Zresztą, czy mój ojciec żyje czy nie, skoro świt muszę stąd wyjechać, aby ostrzec Mogollonów. Naturalnie, ty i Jumowie pojedziecie ze mną, inaczej bowiem nie byłbym pewny, czy nie wpadniecie w ręce wrogów. A wówczas nie ograniczyliby się już chyba do porzucenia cię samej na pastwę losu.

— Czy znasz drogę, którą obrali Mogollonowie? — zapytała po krótkiej przerwie Judyta.

— Tak. Wyruszyli do Głębokich Wód i jutro wieczorem zatrzymają się w Cienistym Źródle. Tam właśnie mam się z nimi spotkać.

— Przecież nie wiesz, gdzie znajduje się ta miejscowość. Nigdy jeszcze nie byłeś w tych stronach.

— Moi Mogollonowie znają drogę. Wódz dał mi pięćdziesięciu wojowników do pomocy przeciwko Winnetou i jego towarzyszom. Zostawiłem ich niedaleko stąd. Chcieliśmy zatrzymać się nad źródłem, gdy ujrzelśmy ognisko. Wysłaliśmy wywiadowcę. Po powrocie oznajmił nam, że widział białą squaw i garstkę czerwonych wojowników. Naturalnie od razu pomyślałem o tobie i przyszedłem osobiście, aby sprawdzić słuszność mojego przypuszczenia. A teraz wrócę do swoich Indian, aby ich tutaj sprowadzić.

Podniósł się. Judyta również wstała i rzekła:

— Przyrowadź ich! Czy istotnie uważają cię za swego przyjaciela?

— Tak.

— A zatem twój majątek jest bezpieczny?

— Naturalnie!

— Tyle pieniędzy! Może to skusić nawet Indian!

Uderzył ręką o skórzaną torbę, która wisiała na jego ramieniu — była to ta sama czarna torba, z której wyjąłem portfel, i rzekł z radością w głosie:

— Tu właśnie tkwią miliony! Oczywiście, nie domyśla się tego żaden Mogollon. Pozwoliłem nawet niektórym zajrzeć do jej wnętrza i obejrzeć parę drobiazgów, które nie mogą im się przydać. Teraz już idę i będę z powrotem za jakieś piętnaście minut.

Oddalił się szybko. Oboje rozmawiali po angielsku i nie krępowali się obecnością Jumów, mimo że rozmowa ich tyczyła głęboko skrywanych tajemnic. Musieli być chyba pewni, że Indianie nie znają angielskiego na tyle, aby ich zrozumieć. Dotknąłem ręki Winnetou i zapytałem:

— Czy wracamy?

— Nie — odparł szeptem. — Czekamy, aż przybędzie tu oddział Mogollonów. Powstanie wówczas hałas i zgiełk, ułatwiający nam wycofanie się stąd.

Ten niezrównany człowiek wszystko brał pod rozwagę i umiał, jak chyba rzadko kto, korzystać z każdej sposobności, z każdej okazji. Niebawem usłyszeliśmy tętent końskich kopyt. Ukazali się Mogollonowie. Rzeczywiście, dookoła ogniska powstał taki harmider, że mogliśmy już śmiało wyleźć spod drzew, nie obawiając się wcale, iż spostrzeże nas czyjeś wprawne oko lub też ktokolwiek usłyszy.

Wracaliśmy tą samą drogą. Gdy wyszliśmy z lasu, zapytałem Winnetou:

— Czy mój brat zrozumiał wszystko?

Wszystko potwierdził. Jonatan i Judyta są z sobą bardziej szczerzy niż należałoby przypuszczać.

— Tak, Melton opowiedział białej squaw nawet to, co się przydarzyło w Tunisie. Swoim zachowaniem przypomina dziecięcą grzechotkę, co potracona wciąż grzechocze.

— A Judyta jest równie zła jak i on.

— Gorsza nawet, gdyż zło czynione przez kobietę, budzi większą odrazę niż czynione przez mężczyznę. Ale nasza korzyść w tym, że się dzisiaj spotkali i to właśnie tutaj.

— Tak, stało się zgodnie z przewidywaniem mojego brata Winnetou. Mogollonowie zamierzali rozłożyć tu obóz i już z daleka zobaczyli ognisko. Lecz powiedziałaś, że schwytamy całą bandę. Czy nadal podtrzymujesz te słowa?

Tak, stanie się to przy Głębokich Wodach.

— Czy daleko stąd? — zapytałem z ciekawością.

— Zobaczysz. Powinniśmy tam dotrzeć, zanim oni przybędą.

— Musimy jednak poczekać na naszych Nijorów. A tymczasem Jonatan Melton zamierza wyruszyć już o świcie.

— Uczynimy to samo. Co więcej, wyruszymy nieco wcześniej i pojedziemy na spotkanie Nijorów. Jeśli ich wódz usłuchał naszych wskazówek, to zetkniemy się z nim we właściwym czasie i przybędziemy do Głębokich Wód jeszcze przed Meltonem.

— Jest to, zdaje się, jezioro?

— Wznosiła się tam góra, która pluła ogniem. W Nowym Meksyku i Arizonie jest jeszcze takich gór więcej. Ta natomiast zapadła się, zapewne po trzęsieniu ziemi, i utworzyła gębie, w której zatrzymuje się woda.

— Czy to jezioro leży na drodze do Cienistego Źródła, że Mogollonowie muszą je wyminąć?

— W rzeczy samej tak. Wszelako mogliby skrócić na prawo lub na lewo, ale nie uczynią tego, ponieważ aż do Cienistego Źródła nie znaleźliby wody dla koni. Na pewno pojedą tamtędy.

— Czy będziemy się mogli tam ukryć, aby wcześniej nas nie zauważyli?

— Tak. Mój brat sam się przekona, gdy tylko tam przybędziemy.

Došliśmy do końca wschodniego rozgałęzienia Wężowej Góry i mieliśmy już skrócić, kiedy zobaczyliśmy zbliżających się do nas dwóch ludzi. Było dość jasno, aby poznać, że jednym był Emery, a drugim Dunker. Oni także nas poznali. Anglik zawołał, oczywiście niezbyt głośno:

— Bogu dzięki, że tu jesteście! Lękaliśmy się już o was.

— I chcieliście przyjść z pomocą? — zapytałem. — Dowiedcie się o wszystkim. Wracajmy do obozu!

Nijorowie pilnowali koni. Gdy wróciliśmy, usiadłem i chciałem rozpocząć opowiadanie, ale Winnetou, który wybiegał myślami naprzód, powstrzymał mnie.

— Mój brat niech jeszcze chwilę poczeka! Ważniejszą rzeczą, niż jego relacja, jest to, co oznajmię temu młodemu wojownikowi.

I zwracając się do jednego z wywiadowców, zapytał:

— Czy mój brat zna drogę, którą stu Nijorów ma do nas przybyć?

— Tak.

— Niechaj więc natychmiast jedzie na ich spotkanie. Jest dosyć jasno, aby mimo nocy mógł ich dostrzec. Skoro tylko spotka swoich braci, niech przynagli ich do pośpiechu, albowiem są nam bardzo potrzebni do schwytania pięćdziesięciu Mogollonów. Przed świtem opuścimy górę i zajedziemy im drogę — niech wiedzą, że natkną się na nas. Następnie niechaj mój młody brat podąży do swego wodza i zamelduje, że wojownicy Mogollonów jutro wieczorem rozbiją obóz w Cienistym Źródle i co za tym idzie, pojutrze przed południem przybędą do Łysiny Kanionu. A więc Szybka Strzała powinien przedtem ukryć się tam ze swoimi wojownikami. Oto poselstwo, z którym cię posyłamy. Howgh!

Wywiadowca cicho się oddalił; dosiadł wierzchowca i pojechał w noc, rozświetloną blaskiem gwiazd, na południowy zachód, skąd przybyliśmy.

Teraz opowiedziałem obu towarzyszom, co się nam przytrafiło. Byli ogromnie uradowani zapewnieniem Winnetou, iż rano schwytamy wreszcie Jonatana Meltona.

Tego dnia sen był nam ogromnie potrzebny. Ponieważ wywiadowcy nie czuwali przez szereg poprzednich nocy, dlatego bez zastanawiania się przekazaliśmy im wartę, a sami ułożyliśmy się na ziemi. Przedtem jednak Winnetou na podstawie gwiazd wyznaczył dokładnie temu, który miał trzymać straż nad ranem, godzinę, o której powinien był nas obudzić.

Spałem bardzo twardo, jak rzadko kiedy. Nijora, który mnie zbudził, opowiedział mi później, że musiał kilkakrotnie mną potrząsnąć. Nie wyspaliśmy się należycie, gdyż obudzono nas na dwie godziny przed świtem. Po przekąszeniu byle czego, pojechaliśmy tą samą drogą, którą przybyliśmy uprzednio.

Mieliśmy za sobą zapewne już około pięciu mil, kiedy zaczęło świtać. Wtedy Winnetou zwolnił bieg konia. Po godzinie osadził go na miejscu i wskazując na prawo, rzekł:

— Tam leżą Głębokie Wody. Nie powinniśmy dalej jechać, musimy czekać tutaj na Nijorów.

— A jeśli przybędą za późno? — zapytał Emery.

— Nawet w tym wypadku Mogollonowie nam nie umkną, gdyż napadniemy na nich między Głębokimi Wadami a Cienistym Źródłem. Winnetou jest jednak przekonany, że Nijorowie przybędą na czas.

Znowu słuszość była po jego stronie, przybyli na czas. Czekaliśmy bowiem niespełna pół godziny, gdy z południowego zachodu wyłoniła się chmara jeźdźców, zbliżających się do nas galopem. To byli oczekiwani Nijorowie. Nie znaleźliśmy ich, oznajmili to nam nasi wywiadowcy. Nadjeżdżający nadlecieli jak burza i zatrzymali się, tworząc prosty szereg w odległości kilku kroków od nas. Jeden z nich wysunął się do przodu i rzekł:

— Jestem Bystre Oko, młodszy brat Szybkiej Strzały. Wódz przysłał Winnetou i Old Shatterhandowi stu swoich wojowników, których zażądali nasi znakomici bracia.

— Bystre Oko jest dzielnym wojownikiem — odpowiedział z godnością Winnetou. — Chętnie wypalilibyśmy z naszymi braćmi fajkę pokoju na powitanie, ale nie mamy czasu. Musimy schwytać pięćdziesięciu Mogollonów. Czy moi bracia wiedzą o tym?

— Tak. Spotkaliśmy wywiadowcę. Te psy, Mogollonowie, znajdą nas przygotowanych.

— Gdy już ich schwytały, będzie wiele czasu, aby wypalić razem kalumet. Czy moi bracia znają jezioro, zwane Głębokimi Wodami?

— Tak. Leży po tamtej stronie, gdzie słońce zachodzi.

— Niech więc tam z nami jadą, a Bystre Oko niechaj jedzie przy moim boku!

Podążał obok Winnetou, ale cofnięty o długość końskiego łba. Pobieżne wejrzenie przekonało mnie, że Nijorowie są niezgorzej uzbrojeni. Większość znała Winnetou, ale nas trzech nigdy nie widziała. Stąd te ukradkowe spojrzenia, które na nas rzucali. Ruszyli za nami gęsiego. Zazwyczaj jedzie się tak, aby wydeptać tylko wąską ścieżkę i nie zdradzić wobec wrogów liczby jeźdźców. W takim wypadku liczbę tę można określić jedynie na podstawie głębokości wydeptanego śladu — zadanie nader trudne, lecz nie dla Winnetou, który rzadko mylił się nawet o kilku jeźdźców.

Jechałem po prawej stronie Apacza, Bystre Oko po stronie lewej. Winnetou nie odzywał się ani słowem, nie zwykł mówić wiele po takich spotkaniach. Jeśli zachodziła już taka konieczność, pozostawiał to mnie. Ja jako biały nie byłem zobowiązany do poważnego, pełnego godności milczenia czerwonoskórych. Po pewnym czasie przerwałem więc milczenie, zwracając się do dowódcy oddziału:

— Mój brat Winnetou nazwał Bystre Oko dzielnym wojownikiem. Wiem, że wszyscy Nijorowie są mężnymi wojownikami, dlatego nie ulega wątpliwości, że zwyciężymy Mogollonów. Czy wciąż jeszcze zajmują się swymi lekami?

— Nie — odparł zapytany. — Uroczystości zostały natychmiast zakończone, skoro zjawiał się goniec, którego moi znakomici bracia do nas wysłali.

— Słusznie. Przyrządzenie leków wymaga wiele czasu, a ten którym rozporządzamy, jest krótki i cenny. Mogollonowie będą bowiem jeszcze dziś wieczorem w Cienistym Źródle. Czy Bystre Oko zna wiadomości, które posłaliśmy wodzowi, jego bratu?

— Tak.

— Czy wódz weźmie je pod rozwagę?

— Wie, że Winnetou i Old Shatterhand są wielkimi i mądrymi wojownikami. Dlatego też uczyni wszystko, co mu doradzą.

— Kiedy przybędzie do Łysin Kanionu?

— Jutro rano, skoro świt.

— Jeśli tak, to na pewno schwyta wszystkich wrogów.

— Wiemy o tym. Każdy pies mogolloński, który się nie podda, będzie rozstrzelany.

— A co się stanie z tymi, którzy się poddadzą? — zapytałem.

— Umrą przy palu męczeńskim.

— Ileż to strzałów potrzebowałiby moi bracia!? Będziemy mieli do czynienia z przeszło trzystu Mogollonami. Czy Szybka Strzała dopuści do zagłady całego ich plemienia?

Dowódca spojrzął przed siebie chmurnie. Wolałby nie odpowiadać na to pytanie. Ale że byłoby to obrazą, więc rzekł:

— Mogollonowie są naszymi wrogami. Czy zasłużyli na inny los? Żyliśmy z nimi w zgodzie, odwiedzaliśmy ich, a oni nas. Naraz wykopali topór wojenny, absolutnie bez żadnej przyczyny.

— Jeśli zdarzyłoby się to, o czym mój brat powiada, wówczas Łysinę Kanionu należałoby nazwać „Łysiną Mordu”. Czy mój brat słyszał, aby Winnetou i Old Shatterhand byli zwolennikami rozlewu krwi?

— Każdy czerwony i biały, który słyszał o tych wielkich i mężnych wojownikach, wie, że tak nie jest.

— Toteż zapewne wiadomo wam, że nie użyczamy ręki i pomocy plemieniu, które zamierza obejść się okrutnie z jeńcami. Co się zaś tyczy rozprawy na Łysinie Kanionu, to pomówię jeszcze w tej sprawie z twoim bratem, Szybka Strzała. Z tobą natomiast muszę się porozumieć w kwestii najbliższego ataku. Pięćdziesięciu Mogollonów przybędzie do Głębokich Wód. Towarzyszy im biały, biała squaw i kilku Jumów, którzy nie są waszymi wrogami. Czy pomożesz mi schwytać tych ludzi?

— Jeśli Old Shatterhand tak sobie życzy, stanie się zadość jego życzeniu. Lecz Mogollonowie należą do nas?

— Pod warunkiem, że będziecie ich zabijać tylko z konieczności. Przy tym ja jestem dzisiaj waszym dowódcą, wszak wypaliłem z waszym wodzem fajkę pokoju. Jestem jego bratem, poprosiłem Szybką Strzałę o pomoc, i oto mi was przysłał. Dlatego wymagam, abyście czynili to, co ja uważam za słuszne. Jedyne pod tym warunkiem oddam wam pięćdziesięciu Mogollonów, których oczekujemy.

Ostatnie słowa wypowiedziałem powoli i tonem nie uznającym sprzeciwu. Bystre Oko zmarszczył czoło, opuścił oczy i nie odpowiadał. Moje żądanie nie przypadło mu do gustu ani do przekonania.

— Dlaczego mój brat milczy, dlaczego nie odpowiada? — nalegałem.

Czyniąc gest, jak gdyby chciał się przed czymś opędzić, rzekł:

— Ponieważ Old Shatterhand postępuje wobec wojowników Nijorów lojalnie, przeto przyznam mu się szczerze, że mój brat-wódz radził mi słuchać jego i Winnetou, wielkiego Apacza.

— A zatem odniesiecie dziś i jutro dwa wielkie zwycięstwa, nie tracąc nikogo spośród swoich. Roztropność jest silniejsza od przemocy, a łagodność potężniejsza od morderstwa.

— Ale czy Winnetou z tym się godzi? Mam nie tylko słuchać ciebie, ale także i jego.

Teraz odezwał się Apacz:

— Kiedy coś mówi lub czyni mój brat Old Shatterhand, należy to przyjąć tak, jak gdybym ja mówił lub czynił. Moi bracia niech się pogodzą i nie mówią o tej sprawie, dopóki Old Shatterhand nie zobaczy Głębokich Wód.

Miał słuszny powód, aby tego żądać. Dlatego zamilkłem. Zresztą, osiągnąłem już swój cel, mianowicie dowiedziałem się, co myśleć o okrucieństwie czy humanitarności Nijorów.

Posuwaliśmy się szybko, na kształt długiego węża, po terenie skalistym. Dookoła nie było widać ani źdźbła trawy, dlatego też zdumiałem się, gdy naraz zobaczyłem las, a mówiąc ściślej — lasek, przypominający wyglądem wydłużone koło.

— Oto Głębokie Wody — rzekł Winnetou, wskazując w jego kierunku.

— Pośrodku? zapytałem.

— Tak.

— A więc jest to, jak już poprzednio wspomniałeś, pozostałość po dawnym kraterze.

Przybyliśmy ze wschodu. Winnetou zakreślił łuk, aby wjechać w las ze strony południowej.

— Po co ta okrężna droga? — zauważyłem.

— Ponieważ Mogollonowie przybędą z północy, a nie powinni zobaczyć wcześniej naszych śladów.

Podjechaliśmy do lasu w miejscu, gdzie między drzewami widać było wolną przestrzeń. Winnetou zeskoczył z konia i powiedział:

— Ta luka prowadzi do Głębokich Wód. Nasze konie nie powinny ani biec dalej, ani też pozostać między drzewami, gdyż mogą nas zdradzić. Dziesięciu wojowników Nijorów niech pojedzie z nimi na południe tak daleko, aby nie było ich stąd widać. Niech tam moi bracia czekają na nasze wezwanie.

Bystre Oko wyznaczył dziesięciu wojowników. Reszta wkroczyła w głąb lasu. Wnętrze jego zdziwiło mnie jeszcze bardziej niż obwód. Zobaczyłem małe, okrągłe jezioro o średnicy niespełna pięćdziesięciu łokci. Woda w nim była jasna i przejrzysta jak kryształ. Zwierciadło jej znajdowało się nie na wysokości naszych nóg, lecz poniżej, na dziesięć czy dwanaście łokci. W głębi wodę okalał brzeg zarośnięty bujną trawą. Dookoła na górze znów biegła niby wypustka j szeroka, zielona obręcz. Całość wyglądała jak talerz o dwóch zagłębieniach, przy czym woda sięgała tylko do niższego z nich. Trawa zarówno na dole, jak i na górze była wydeptana. Winnetou zwrócił na to moją uwagę i zapytał:

— Czy mój brat wie, kto tu był i podeptał trawę?

— Oczywiście, Silny Wicher ze swymi wojownikami!

— Jak dawno mógł tu być? Zbadałem trawę i odpowiedziałem:

— Przeszło godzinę temu.

— To prawda. Przybyliśmy więc ani nie za późno, ani nie za wcześnie. Mamy przed i za sobą Mogollonów. Ci, którzy są za nami muszą wpaść nam ręce. Mój brat Old Shatterhand mi powie, w jaki sposób to się stanie.

Zadanie było tak łatwe, że dzieci potrafiłoby je rozwiązać. Rozumie się samo przez się, że Mogollonowi którzy przybędą z Jonatanem Meltonem, zechcą napoić swoje konie, zatem musieli zejść na dół. Stamtąd nic nie zobaczą, gdyż widok będzie zasłaniał brzeg, wysoki na dziesięć łokci. Jeśli więc schowalibyśmy się w lasu i, w momencie gdy Mogolloo—wie doprowadzą konie do wody, zagrozili im wysunawszy swe strzelby, bylibyśmy panami sytuacji. O oporze mógłby pomyśleć jedynie szalencie. Wrogów byłoby niewiele ponad pięćdziesięciu, nas zaś stu. Na każdego Mogollona przypadłyby dwie nasze strzelby, nie mówiąc już o tym, że staliby nieosłonięci na dole, bezbronni wobec wymierzonych w nich luf, my zaś bylibyśmy bezpieczni. Przedsięwzięcie takie stanowiłoby dla nas dziecinną igraszkę, o ile oni swym postępowaniem nie zmusiliby nas do użycia broni. Po chwili odezwał się do dowódcy oddziału, który stał obok mnie i Winnetou:

— Mój brat jest mężnym wojownikiem. Jego odwaga nie będzie tu jednak wystawiona na próbę. Proszę cię, abys otoczył wojownikami jezioro. Skoro to się stanie, niech każdy się cofnie i schroniwszy w lasku, czeka na przybycie Mogollonów, którzy przyprowadzą do wodopoju swoje konie. Wówczas ja wyjdę spomiędzy drzew i tylko mnie mogą zobaczyć wrogowie, w lasku niech nikt się nie poruszy. Gdy zaś podniosę rękę, niech wojownicy wystąpią i utworzywszy koło położą się nad górnym brzegiem jeziora, wycelowując lufy strzelb w nieprzyjaciół. Ale niech nie strzelają, kiedy ja lub Winnetou będziemy musieli oddać strzały. Jedyne na mój wyraźny rozkaz dadzą ognia, a i to tylko do tych wrogów, którzy spróbują do nas strzelać. Ani jeden z tych Mogollonów, którzy nie będą się bronili, nie powinien być raniony. Kto złamie mój rozkaz, ten wprawdzie nie zostanie ukarany, ale nasza już w tym głowa, aby uchodził pośród swego plemienia za tchórza. Czy wydaje ci się to słuszne?

— Mój brat powiedział, a zatem jest to słuszne — odparł.

— Życie Mogollonów powinno być dla was święte. Ale wszystko, co posiadają, nawet ich leki, możecie uważać za swoją zdobycz.

— A wy, co wy bierzecie?

— Nic. Nie wyruszyliśmy, aby wojować i łupić.

Twarz jego rozpogodziła się. Indianin chętniej traci życie i skalp niż lek, który jest jego największą świętością. Przypuszczam, że Czytelnik wie, czym jest lek dla Indianina. Nie tym bowiem, co u nas oznacza to słowo, a więc uzdrawiającym lekarstwem, lecz przedmiotem, który po długich próbach i walkach Indianin obiera za swój amulet i którego broni do ostatniej kropli krwi. Kto stracił swój lek, ten uchodzi za pozbawionego czci i zostaje wyłączony z gromady, dopóki nie zdobędzie w zamian leku jakiegoś znakomitego wojownika innego plemienia czy szczepu.

To tłumaczyło nam radość Bystrego Oka, jaką okazał, skoro przyrzekłem im leki Mogollonów. Było mu to miłsze nad życie i skalpy wrogów.

— Widzę, że mój brat postępuje z nami uczciwie — zawołał zachwycony. — Psy Mogollonów wyruszyły, aby nas rozszarpać, lecz będą wyć ze wstydu i przerażenia, wracając bez leków do nor, z których wylazły. Co jeszcze powinniśmy zrobić?

— Nic, co bym już teraz mógł przewidzieć. Okaze się to we właściwym czasie. Powiedz jednak swoim wojownikom, aby na mnie skupili całą swoją uwagę i pilnie słuchali każdego mego słowa. Ty natomiast zostaniesz w pobliżu mnie.

Zwołał wojowników i oznajmił im moje rozkazy. Niebawem tak się pochowali w lesie, że nikogo nie było widać. Z północy, tak samo jak i z południa, prześwit między drzewami

prowadził do źródła. Z tej strony spodziewałem się Mogollonów. Nie było innej drogi, którą by mógł przejechać jeździec. Obsadziliśmy oba wejścia: Winnetou i Emery południowe, ja, Dunker i Bystre Oko — północne. Nie musieliśmy się obawiać, że zdradzą nas ślady, gdyż trawa była tu już wydeptana przed naszym przybyciem.

Miał słuszość Winnetou, kiedy powiedział, że nie przybyliśmy ani za późno, ani też za wcześnie. Kiedy bowiem wszystkie nasze zarządzenia zostały już wykonane, zobaczyłem między drzewami jeźdźców zbliżających się do lasu, tak jednak oddalonych, że niepodobna było rozpoznać poszczególnych sylwetek. Ale nie mogło być ich więcej ani mniej niż pięćdziesięciu. Musieli to być ci, których właśnie wypatrywaliśmy. Zawołałem więc głośno, aby wszyscy nasi wojownicy mogli mnie usłyszeć:

— Przybywają! Niech się żaden z was nie ukaże za wcześnie!

Winnetou i Emery, którzy dotychczas stali dość daleko od drzew, w okamgnieniu znikli pomiędzy nimi. Dunker stał przy mnie i obserwował sytuację.

— Zbliżają się niezmiernie szybko — rzekł. — Można już ich rozpoznać. Na przodzie jada Judyta i Melton. Teraz zatrzymują się, aby wysłać wywiadowcę.

— Są zbyt nieostrożni. A zresztą, jest to bezsensowne, albowiem każdy wróg, który by się tutaj znajdował, dawno by ich już spostrzegł.

— Oczywiście. Może pan jednak sądzi, że nie jesteśmy ich wrogami? Myślę, że tak i to jeszcze jakimi!

— Wkrótce się o tym przekonają. Ale chodźmy już, musimy się przecież ukryć!

Wraz z Byстрыm Okiem zaszyliśmy, się głęboko w las, aby obserwować z ukrycia. Niebawem usłyszeliśmy tętent końskich kopyt. Mogollonowie przybyli już na miejsce. Zatrzymali się, ponieważ dróżka była zbyt wąska,; aby wszyscy równocześnie mogli tamtędy przejechać. Widzieliśmy, jak: wjeżdżali jeden po drugim — Mogollonowie i Jumowie. Potem zeskoczyli z koni i zaprowadzili je, tak jak przedtem przewidzieliśmy, do źródła.

Na końcu jechał Melton z Judytą. Poprzednio wyprzedzali wszystkich, teraz zaś przepuścili wojownika i nadjechali ostatni. Melton zeskoczył z konia i pomógł Judycie przy z: daniu.

— Czy jesteś zmęczona? — zapytałem.

— Nie. Kiedy żył jeszcze mój mi całe dni spędzałam na koniu.

— Zostań na górze, a ja zaprowadź twego wierzchowca do wody. Trzeba napoić konie, gdyż nie pozostaniemy tu zbyt długo, a potem aż do Cienistego Źródła nie znajdziemy już żadną wodopoju.

Sprowadził konie po łagodnym zboczu. Judyta została na górze — jedyna spośród wrogów. Tafla wody znajdowała się tak nisko, że nie była stamtąd wcale widoczna. Teraz należało przystąpić do działania. Szybko wyczołgałem się spomiędzy drzew i trzymając sztucer w lewej ręce, stanąłem za Judytą.

— Dzień dobry, seniora! — rzekłem. Obejrzała się gwałtownie i usiłowała krzyknąć, ale z przerażenia głos uwiązł jej w gardle. W oczach malował się przestach.

— Ogląda mnie pani jak zjawę. Mam nadzieję, że będzie seniora tak łaskawa i przypomni mnie sobie. Przecież nie minęło wiele czasu, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

— Old... Old... Shatterhand! — wykrztusiła wreszcie.

— Istotnie, tak się nazywam. Cieszy mnie, że nie zapomniała jednak pani mego nazwiska.

— Czego... czego senior tu chce?

— Senior chce mieć panią i jej kochanego Jonatana — odpowiedziałem uprzejmie.

— To... to szaleństwo! Jest pan naszym wrogiem. Czy master wie, że mamy z sobą pięćdziesięciu, a nawet więcej Indian?! — Powiedziała to szybko i groźnie, ale wciąż jeszcze cicho, zapewne pod wpływem strachu.

— Wiem, wiem — odparłem.

— Jest pan zgubiony! Uchwyciła mnie za ramię, abym nie mógł uciec, zwróciła się ku wodzie i chciała krzyknąć. Lecz momentalnie przystawiłem jej lufę do głowy i zagroziłem:

— Ani słowa, seniora, bo natychmiast strzelę! Mister Dunker! — zawołałem w stronę lasu.

Dunker wyszedł zza drzewa i zapytał:

— Co takiego, sir?

— Niech pan uważa na tę lady, aby nie mogła pójść na spacer, i obchodzi się z nią grzecznie!

— Dobrze. Z największą przyjemnością.

Odwróciłem się i podniosłem rękę do góry; Nijorowie wysunęli się z lasu i postępowali zgodnie z moim życzeniem. Ułożywszy się na brzegu skarpy, wycelowali lufy strzelb w stojących nad wodą wrogów. Wówczas usłyszałem głos Meltona:

— Do stu tysięcy piorunów! Cóż to takiego? Strzelby dokoła! Kto jest tam na górze?!

Chciał wspiąć się po zboczu, gdy w tej właśnie chwili zobaczył skierowany w siebie mój sztucer. Wystąpiłem naprzód, tak aby mógł mnie zobaczyć całego i odparłem:

— Sto nabitych strzelb, sir! To ranne powitanie, które panu przynoszę.

— Old Shatterhand! Old...

Nie dokończył słowa, zerwał z ramienia strzelbę, błyskawicznie przyłożył i nacisnął cyngiel. Rzuciłem się na ziemię. Kula przeszła tylko powietrze. Zerwałem się natychmiast, wycelowałem w niego sztucer i zawołałem:

— Odrzuć broń, kanalio, bo strzelam!

Spoglądając na mnie tępo, stał znieruchomiały.

— Precz z tą flintą, bo posłę ci kulę! Raz... dwa... — Strzelba wypadła mu z ręki.

Strzał był jak gdyby sygnałem dla wojowników Meltona. Spojrzeli w górę. Zobaczyli mnie, a także skierowane w nich lufy. Mogollonowie nigdy mnie nie widzieli, ale niektórzy Jumowie znali mnie, ci trwożnie wymienili moje nazwisko, inni powtórzyli je i wokół rozległ się głośny szmer.

— Tak, jestem Old Shatterhand! — krzyknąłem. — A tam stoi Winnetou, wódz Apaczów. — Winnetou leżał wraz z wszystkimi w trawie, teraz zaś podniósł się i ukazał wrogom. — Natomiast dookoła jeziora leżą wojownicy Nijorów — uzupełniłem. — Wstańcie z trawy!

Nijorowie podnieśli się i utworzyli nieprzerwany łańcuch, krąg groźnych wojowników ze strzelbami skierowanymi w dół. Naraz rozległ się obok Winnetou głos:

— A tu oto stoi Emery Bothwell, Anglik, który pokaże wam, jak należy działać!

Zeszedł szybko do Mogollonów, wyrwał najbliższemu stojącemu wrogowi flintę, wręczył ją jednemu z Nijorów i rozkazał grzmiącym głosem:

— Niechaj Mogollonowie oddadzą swoją broń i rzucą noże, jeśli nie chcą paść natychmiast od naszych kul!

I zwracając się do drugiego Mogollona, który oglądał go nieprzytomnym wzrokiem, huknął nań:

— No, ruszajże się! Na górę z flintą! Wyciągnął rewolwer i przystawił go do boku Indianina, który czym prędzej oddał swoją broń. Czy zdziałał to ów przykład, czy też śmiało wystąpienie Anglika, czy owe liczne i groźnie patrzące lufy, czy oszołomienie, czy może to wszystko razem, dosyć, że Mogollonowie nie pomyśleli o obronie, a tym bardziej o wyciągnięciu swych strzelb. Podali na górę wszystką broń, a po niej rzucili noże. Okazali największe posłuszeństwo. Natomiast Melton zachowywał się jak dziki. Krzyczał, i aby nie słuchali nas, kazał strzelać, kłął i urągał, nazywał ich tchórzami, ale sam nie śmiał nawet podnieść strzelby. Emery, który wciąż jeszcze uwijał się na dole, podszedł do niego, podniósł jego broń i trzymając przed Meltonem rewolwer, zagroził:

— Milcz, głupi ośle, bo uspokoję na zawsze twój język! Jeszcze jedno twoje słowo, a umilkiesz na wieki. Oddaj no ten bezużyteczny grat!

Wyjął mu zza pasa pozostałą broń i wrócił do mnie.

— Wszystko w porządku, Charley! — oznajmił z uśmiechem. — Banda rozbrojona. Co teraz?

— Związać ich. Niechaj wejdą na górę pojedynczo, jeden po drugim, a tu się im nałoży więzy.

— W porządku! Który nie wejdzie, otrzyma kulę w łeb!

Zeszedł z powrotem. Towarzyszyli mu teraz Winnetou i Dunker, który uprzednio przekazał Judytę jednemu z Nijorów. Zszedł także Bystre Oko, aby ociągających się zmusić groźbą do posłuszeństwa. Zresztą, większość Mogollonów postępowała rozsądnie. Widzieli, że wszelki opór będzie daremny i dlatego dobrowolnie oddali się w niewolę. Mniej rozsądni musieli wkrótce iść za ich przykładem. Jeńców spętano nader szybko, każdego jego własnym lassem, i ułożono na trawie. Wreszcie przyszła kolej na Jonatana. Rzucił dokoła siebie nienawistne spojrzenia. Rozglądał się za środkami ratunku. Byłby jednak głupi, gdyby nie spostrzegł, że wszelkie próby oporu są daremne. W pewnej chwili postąpił trzy, cztery szybkie kroki po skarpie, ale Judyta krzyknęła głosem pełnym trwogi:

— Zostań na dole, zostań tam! Zastrzelą cię! Poddaj się! Stąd lepiej widać, że nie ma ratunku. Ci ludzie są okropni!...

Jonatan cofnął się, usiadł i spoglądał ponuro na wodę. Po chwili podniósł się, przyniósł kamień leżący w pobliżu i znowu usiadł. Do czego był mu potrzebny kamień? Zastanawiałem się, ale nie mogłem znaleźć na to pytanie odpowiedzi. Czy jako narzędzie obrony? Co za śmieszność!

Siedział tak, dopóki ostatni Mogollon i Juma nie zostali spętani. Emery podszedł do niego i zapytał mnie:

— Związać tego szubrawca?

— Naturalnie.

— A jeśli będzie się opierał?

— Powalisz go kolbą.

Po tych słowach Melton zerwał się jak oparzony, odskoczył od Emery'ego na kilka kroków i krzyknął do mnie:

— Mam się dać związać?!

— Tak, master! Tak rozkazałem, nie spodziewaj się więc, że będzie inaczej. Jeżeli nie podda się pan dobrowolnie, to unieszkodliwimy pana w inny sposób. Tęgi cios załatwi to szybko i skutecznie. Gdy się senior ocknie, będzie już spętany.

— Mogollonowie mnie odbiją!

— Nie łudź się! Czterystu Nijorów czeka na nich w zasadzce. Tutaj zaś widzicie zaledwie stu przeciwników.

— To twoja robota, ty szatanie! — syknął. — Czego chcesz ode mnie?

— Chcę cię oddać w ręce sprawiedliwości, która oczekuje na ciebie z taką tęsknotą.

— Gdzie jest mój ojciec?

— W drodze.

— A jego pieniądze?

— U mister Vogla, prawego ich właściciela.

— Bądźcie po tysiackroć przeklęci!

Krzyknął to tak wściekłym głosem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem. Zbliżył się do wody, stanął nad nią, jak gdyby miał zamiar do niej wskoczyć, ale cofnął się, nie starczyło mu widać odwagi. Zerwał z siebie torbę, wiszącą na rzemieniu u boku, otworzył ją, zanim Emery zdążył temu zapobiec, włożył do niej szybkim ruchem kamień, zamknął z powrotem i cisnął do wody, wybuchając przy tym drwiącym śmiechem, w którym wyczuwało się rozpacz. Torba natychmiast poszła na dno. Gdy to się stało, Judyta wydała przeraźliwy okrzyk i złapała się za głowę, jęcząc:

— Nie ma ich, nie ma, stracone! Na zawsze stracone!

Oszalała z wściekłości zbiegła do Meltona i wrzasnęła:

— Tchórzu! Zdrajco! Oszuście! To należało także do mnie! To było także moje! A teraz znikło, zginęło bezpowrotnie!

— Tak, zginęło... zginęło... — powtarzał nieprzytomnie.

— Ale to była tak samo moja, jak i twoja własność! — krzyczała coraz głośniejszym głosem, a twarz jej przybrała purpurową barwę. — Przysięgłeś mi! Taki był warunek! Czy sądzisz może, że kochałabym cię i byłabym z tobą bez pieniędzy?! I ty je teraz straciłeś, pozbyłeś się ich, ty łotrze, ty podły tchórzu, ty...!

Złapała go za ramiona i potrząsnęła. Oderwał ją od siebie z niemałym trudem i zawołał:

— Precz ode mnie, zmij! To ty zaprowadziłaś mnie na zatracenie! Gdybym nie jechał do twojego puebla, miałbym wszystko, czego pragnąłem, o czym tak bardzo marzyłem — wolność i pieniądze, które teraz straciłem. Jestem uwięziony... uwięziony!

— Bardzo słusznie! — krzyknęła chwytając go ponownie i potrząsając nim ze wszystkich sił. — Cieszę ogromnie z twego położenia i będę; szczęśliwa, kiedy usłyszę, że kat, słyszysz, że kat...

Nie mogła mówić dalej, gdyż złapał ją za gardło i ze straszliwą wściekłością w głosie zawołał:

— O kacie mówisz, o mojej śmierci?! Lecz ty mnie wyprzedzisz! Giń, ty diablico! Idź do piekła, z którego jesteś rodem!

To mówiąc złapał ją za ramiona i z całej siły wrzucił do bezdennego jeziora. Potem nachylił się nad jego brzegiem i krzyknął:

— Na dole, na dnie jest torba! Odszukaj ją. Przyrzekłem ci przecież, teraz więc ją masz!

Pośpieszyłem z pomocą. Ale ubiegł mnie Winnetou. Po kilku sekundach wrócił z Judytą. Indianie wyciągnęli po nią ręce. Melton, nie racząc nawet zerknąć w jej stronę, uchwycił mnie za rękaw i syknął:

— Ściągał mnie pan, aby moje pieniądze... Czyż nie tak, sir?

— Tak — przyznałem spokojnie.

— A więc dostań je z jeziora — zaśmiał się szyderczo. — Są dla was na zawsze stracone!

— Nieprawda.

— Nieprawda? Ależ prawda, prawda. Miałem pieniądze w torbie, w torbie, która znikła w wodzie. Znikła... przepadła... Czy pojmuje pan, co to znaczy? Sprzedaje się za pieniądze honor, sumienie, spokój, szczęście, nogami depce się prawa, traci się wszystko, aby je tylko zdobyć. A skoro się już osiągnęło cel, trzeba się ukrywać w górach, gdzie nie można korzystać z majątku, biegnie się za przekłętą babą, która chce, aby dzielić się z nią pieniędzmi, ale nie udreka sumienia, i w końcu wyrzuca się całe bogactwo do wody, żeby nie oddać go nikomu. Czy wie pan, co to znaczy?!

Scena ta była tak wstrętna, że po prostu trudno ją opisywać. Odtrąciłem od siebie łotra, poprosiłem Emery'ego, aby go związał i podszedłem do Judyty. Leżała w omdleniu. Żyła, bowiem tylko przez parę chwil przebywała pod wodą. Wziąłem ją za rękę, aby zbadać puls; bił powoli i słabo, ale dosyć wyraźnie. Nie musiałem się więc o nią zbytnio troszczyć, a nawet byłem tak okrutny, iż uważałem, że ta kąpiel była jej jak najbardziej potrzebna. Pozostawiłem ją, by zająć się innymi naglącymi sprawami.

Przede wszystkim należało zawiadomić Nijorów, że schwytaliśmy Mogollonów. Wysłałem więc do wodza jednego ze zwiadowców. Poleciłem mu, aby nie pokazywał się Mogollonom, którzy dążyli do Cienistego Źródła.

Teraz pragnąłem się dowiedzieć, czy Mogollonowie zabrali z sobą na wyprawę białych jeńców, czy też zostawili ich w Jasnej Skale. Mógłbym to wyczytać z pozostawionych śladów. Nad wodą nie można było nic rozpoznać, ponieważ grunt był tam całkowicie wydeptany. Oddaliłem się więc wraz z Winnetou, aby okrążyć las. I słusznie! Na zachodniej stronie lasu — przybyliśmy ze wschodniej — odkryliśmy ślad powozu, który tam się zatrzymał. Widać było, że konie wyprzęgnięto i zaprowadzono do wody. Po czym trop

proceedził dookoła placu, gdzie się znów łączył z wyraźnym śladem pozostawionym przez oddział.

To że Mogollonowie wieźli z sobą adwokata i śpiewaczkę, świadczyło o ich wierze w zwycięstwo. Tak też sądził Winnetou.

— Silny Wicher musi być pewny wygranej walki, inaczej bowiem nie zabierałby z sobą jeńców. Ale dlaczego właściwie zabrał ich z sobą? Mogą mu tylko być przeszkodą w tej wyprawie. Myślę, że bał się ich utracić.

— Masz na myśli ucieczkę jeńców? — zapytałem.

— Tak. Wódz wyruszył ze wszystkimi wojownikami, w obozie pozostali tylko starcy, kobiety, chłopcy i dziewczęta. Ci zaś nie nadają się do pilnowania jeńców, którzy bardzo łatwo mogliby wtedy uciec.

— To jedyny powód, jakim tłumaczę ich postępowanie, ale powód niedostateczny, gdyż wleczenie z sobą powozu z jeńcami narazi oddział wojowników jedynie na różne trudności. Trzeba przecież pilnować uwięzionych w dzień i w nocy. Gdyby natomiast zostawili ich w obozie pod strażą kilku Indian, mogliby się teraz swobodnie poruszać.

— Mój brat ma rację, ale jest to jedyny powód, jaki się nasuwa na myśl — odparł Winnetou.

— A teren wyprawy. Pomyśl tylko o wąwozie, który prowadzi na Łysinę Kanionu. Jakże poradzą sobie tam z powozem?

— Być może, nie znają dokładnie terenu.

— W takim razie byliby wyjątkowo nieostrożni. Kiedy chce się napaść na wrogie plemię, trzeba wpięrw dobrze poznać drogi, które doń prowadzą. Z tego, co mi mówiłeś o miejscowości, wnioskuje, że powóz nie dojedzie dalej niż do Cienistego Źródła, gdzie rozłożą się obozem dzisiejszej nocy. Czy myślisz, że trzeba ich koniecznie śledzić?

— Oczywiście, że koniecznie.

— Ale chyba po ciemku?

— Zbliżyć się do nich można wyłącznie w nocy. Lecz będzie lepiej, jeśli pojedę za nimi już za dnia. Mój brat Szarlieh niech później wyruszy za mną i tak wyliczy czas, aby przybył tam pod osłoną mroku.

— O kay, gdzie i jak się spotkamy?

— Byłeś już w Cienistym Źródle i znasz drogę. Spotkamy się w odległości jednej mili o źródła. Tam będę” na ciebie czekał. Gdy się zbliżysz, wypalisz z niedźwiedziówki, ja zaś odpowiem ci wystrzałem ze swej srebrnej strzelby. Znamy dokładnie głosy naszej broni, łatwo się więc spotkamy.

— W porządku. Czy nie wracamy tu później?

— Nie. Nasi wojownicy muszą podążać za nami. Jeszcze tej nocy wyruszą wraz z jeńcami. Spotkamy się w godzinę po świcie. W tym czasie Mogollonów nie będzie już nad źródłem. Za chwilę wyruszam, ale wpierw napoję konia.

— Powiedz Nijorom, pilnującym wierzchowców, aby sprowadzili tu resztę koni! — krzyknąłem jeszcze za nim.

Winnetou oddalił się na południe, dokąd wysłaliśmy zwierzęta. Wkrótce je przyprowadzono. Napoiwszy swego rumaka, Apacz odjechał galopem. Był to na pewno najlepszy zwiadowca na Dzikim Zachodzie.

Ponieważ byliśmy zmuszeni dosyć długo obozować nad Głębokimi Wadami, postaraliśmy się rozlokować jak najwygodniej. Natomiast mniej wygodnie było jeńcom w pętach. Związaliśmy nawet Judytę, kiedy tylko ocknęła się z omdlenia. Zajął się tym Długi Dunker, który nie patyczkowi się z nią wcale. Był tak złośliwy, położył ją przy Meltonie na trawie. Kiedy zwróciłem na to uwagę, rzekł;

— Czy sądzi pan, że może to nam zaszkodzić?

— Tak. Czy takim jeńcom powinniśmy pozwolić na porozumiewanie się z sobą? Mogą wszak omówić plan ucieczki albo uzgodnić swoje zeznania.

— Niech tam! Kpimy sobie z ich zeznań, mamy przecież dosyć dowodów. Czy nie rozumie pan, dlaczego ułożyłem ich przy sobie?

— Ze zwykłej złośliwości, mister Dunker. A może nie mam racji?

— Nie, nie ze złośliwości — zaprzeczył. — Najwyżej można byłoby mnie nazwać— dowcipnisiem. Po tym, co się tu wydarzyło, nie sądzę, aby oboje rozmawiali z sobą zbyt czule. Chciałbym ich rozjątrzyć. Niech pan spojrzy tylko, jakimi obrzucają się spojrzeniami! Jakie stroją miny! Ale dosyć, muszę spieszyć do nich, aby się przysłuchiwać!

Zbliżył się bezszelestnie do leżących i usiadł z tyłu za ich głowami, tak że nie mogli go zobaczyć. Wyraz twarzy tego starego psotnika świadczył o tym, że bawił się wyśmienicie rozmową obojga.

Położyłem się w cieniu drzew i uciałem sobie drzemkę. Należało się bowiem spodziewać, że dzisiejszej nocy nie starczy mi czasu na sen. Obudzono mnie na dwie godziny przed zachodem słońca. Sen pokrzepił mnie bardzo, choć nie wyspałem się do woli. Pozwolono by mi spać dłużej, gdyby Jonatan i Judyta nie domagali się uporczywie rozmowy ze mną. Kiedy się do nich zbliżyłem, Judyta zawołała oburzona:

— Panie, dlaczego jestem tu w towarzystwie tego człowieka? Jeśli ten morderca, ten szubrawiec, który z trwogi rzucił do wody tyle pieniędzy i który mnie oszukał, nie pójdzie stąd precz, to...

Nie dałem jej dokończyć, przerywając ten wywód słowami zabarwionymi ironią:

— To bardzo dziwne! Wczoraj mówiła pani o nim zupełnie inaczej, a rozmawiała z nim samym wyjątkowo przyjaźnie.

— Co pan może o tym wiedzieć! — rzekła zniecierpliwiona.

— O, wiem wszystko!

— Wszystko? Nie, nic pan nie wie! No... gdzie w takim razie byłam wczoraj wieczorem?

Na jej wyzywające zapytanie odpowiedziałem z uśmiechem:

— Nad źródłem, blisko Wężowej Góry. Sklecono dla pani nad wodą szałas. Siedziała seniora przed nim wraz z owym Jumą, który przyjął nas swego czasu tak wyjątkowo gościnnie. Wiem nawet, że rozmawiała pani o mnie i o pozostałych moich towarzyszach. Nie mam jednak ochoty tego powtarzać. Następnie zobaczyła się pani ze swoim kochanym Jonatanem.

— Też coś! Skąd miałby się tam wziąć?

— Przyjechał z Jasnej Skały. Wyruszył wraz z Mogollonami, aby nas schwytać. Ponieważ jednak nie ma wprawy, stało się, jak widać, wręcz odwrotnie — sam wpadł w nasze ręce. Może zechce pani temu zaprzeczyć?

— Zgaduje pan na chybił trafił.

— Bynajmniej. Senior Jonatan wraz z Mogollonami miał urządzić przy tym źródle postój, kiedy to zobaczył ognisko, buchające na wysokość domu. Zostawił Indian i poszedł na zwiady. Chociaż nieprędko znajdzie się pani w podobnej sytuacji, jednak poinformuję seniore, że nie należy rozpalać tak zdradliwego ogniska. A czy nie przypomina pani sobie, z jaką radością przywitała się z Meltonem?

— Czyli... czyli pan nas szpiegował?! — rozzłościła się na nowo. — Gdzie więc pan siedział?

— Pod drzewami po drugiej stronie wody, naprzeciwko pani. Słyszałem każde wypowiedziane przez was słowo.

Szarpnęła się i spojrzała na mnie wściekle. Z kolei Melton widząc, że Judyta dała się podejść, obrzucił ją wymówkami. Po czym zwrócił się do mnie:

— To jej wina. Do mnie nikt się tak blisko nie podkradnie.

— Myli się pan ogromnie, mister Melton. Mógłbym dowieść czegoś wręcz przeciwnego.

— No, słucham! — wydał pogardliwie wargi..

— Nie mam na to czasu. Chcę tylko zwrócić pana uwagę na jedną rzecz. Swego czasu na okręcie, w drodze do Tunisu, Winnetou pod pana bokiem otworzył kufer i wyjął sekretne papiery, które następnie przeczytaliśmy w naszej kajucie. Wydobył z pańskiej kieszeni klucz, z ubrania, które miał master na sobie.

— Nie może być! — sprzeciwił się Jonatan.

— A jednak tak było. Potem włożył papiery na powrót do kufra, a klucz wsunął do pańskiej kieszeni. Czy nie jest to przedsięwzięcie znacznie trudniejsze od zwykłego śledzenia? Mógłbym panu powiedzieć jeszcze więcej, ale zostawię to na później. Nie zna nas pan tak, jak powinien znać.

— O, znam was aż nazbyt dobrze! Jesteś diabłem w ludzkiej skórze, nie znającym łaski ani litości. Dotychczas wszystko wam się udawało, ale niech pan nie przecenia zbyt swoich sił!

— Grozi mi pan? — uśmiechnąłem się.

— Nie. Ze mną już koniec, widzę to jasno.

— Czy istotnie pan to zrozumiał? — zapytałem.

Wydawał się być przygnębiony, jak człowiek, który stracił wszelkie nadzieje. Czy była to prawda, czy też nowe szalbierstwo? Czy aby nie chciał mnie tylko zwieść? Zastanawiałem się nad tym przez moment, gdy zwrócił się do mnie i rzekł:

— Tak, rozumiałem. Wiem, że moja gra jest już skończona. Kilkakrotnie nieszczęśliwie się panu wymykałem, z coraz to jednak większą trudnością. Z puebla wydostałem się z ogromnym wysiłkiem, ale wszak pomyślnie. Pomyślałem sobie wówczas, że będę zgubiony, jeśli zdoła mnie pan jeszcze raz schwytać. I zdarzyło się to teraz!

— Czemu nie mógłby pan i tym razem uciec? Nic przecież nie można przewidzieć.

— Teraz już nie. Widzę przy was Długiego Dunkera. Zbiegł z niewoli u Mogollonów i zetknął się z wami. Przypuszczam, że powiedział panu, kogo oni schwytali?

— Oczywiście.

— I że wyruszają przeciwko Nijorom?

— I to również. Lecz myśmy ich ostrzegli.

— Widzę tego skutki. Ma pan z sobą stu Nijorów. Napadniecie teraz na Mogollonów i odbijecie adwokata orał śpiewaczkę?

— Naturalnie.

— Jakże więc może pan mówić o mojej ucieczce! Wiem, że nie ma już dla mnie ratunku.

— Baba! — syknęła Judyta.

— Milcz! — krzyknął. — Tyś była moim nieszczęściem! Bodajbym cię nigdy nie poznał! Inaczej by mi się wiodło! Teraz zaś jestem zgubiony. Pozostała mi jedynie pociecha i niezmierna radość. Musiałem się wyrzec łupu, ale też i nikt inny go nie dostanie!

— Czy się pan przypadkiem nie myli? — zapytałem.

— Dlaczego pan pyta? Przecież chyba wszyscy widzieli, jak wrzuciłem torbę do jeziora?

— A czy nie można jej wydobyć?

— Z tej wody, której dna nikt jeszcze nie widział? — zaśmiał się złośliwie.

— Dno ma każda woda.

— Owszem, więc niech się pan w niej zanurzy! Nie wiem, jak głęboko potrafi nurkować człowiek, ale jeśli nawet dotrze pan do samego dna i po długich poszukiwaniach odnajdzie moją torbę, to i tak papiery będą już zniszczone przez wodę i pozbawione wartości.

— Ja tak nie sądzę — odparłem.

— Nie? Myśli pan, że woda nie przeniknie do wnętrza torby?

— Przeniknie, owszem, nie tylko do torby, ale także i do pugilaresu, który tkwił w niej wraz z papierami.

— Pu... pu... pugilares? — zająknął się. — Co pan o nim wie?! — zawołał zdumiony.

— Powiedziałem już panu, że wiem wszystko. Dowiedziałem się tego, na czym mi zależało, aczkolwiek mówił pan, że niepodobna go podsłuchać. Mister Melton, jest pan nieostrożnym, nader niefrasobliwym młodzieńcem! Do tej pory nie wie pan nawet, co miał w swojej torbie, a raczej czego w niej nie miał.

— Nie rozumiem pana! — wykrztusił podniecony.

— Ja wiem o, każdym groszu, który mam przy sobie. Pan zaś posiadał miliony, a nie troszczył się o nie tak, jak ja troszczę się o tych kilka dolarów i centów, jakie posiadam.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — pytał, nie rozumiejąc moich słów.

— Chcę zadać panu pytanie — rzekłem. — Czy zagrabione pieniądze istotnie tkwiły, w torbie, którą miał master przy sobie?

— Tak. Mogę to teraz szczerze wyznać, ponieważ torby nie ma już i nie będzie.

— Nieprawda! Pieniądze nie leżą w jeziorze.

— A gdzie?

— Tu, w mojej kieszeni. Mówiąc to, uderzyłem się w piersi.

— Niech się pan nie zgrywa. Chce mnie sir rozdrażnić, ale to ci się nie uda.

— Uda mi się. To ja posiadam pieniądze! — powtórzyłem.

— No to niech mi pan pokaże!

— Dobrze. Czy zna pan ten pugilares?

Wyciągnąłem portfel z kieszeni i przysunąłem do jego twarzy.

— Do stu piorunów! — krzyknął. — To jest... to jest... tak, to jest mój...

— Pugilares — dokończyłem.

— Nie, nie! Nie może tak być, nie powinno być! — zawołał. — To pugilares tylko podobny do mego. Nie dam się zwieść!

— Dowiodę zaraz panu, że mówię prawdę.

Otworzyłem portfel i pokazałem mu zawartość każdej przegródki. Rozwiąłem tym ostatni cień jego wątpliwości. Mimo że miał związane ręce i nogi, zerwał się gwałtownie, lecz od razu runął z powrotem na ziemię. Krzyczał jak obłąkany:

— To ten, to ten! To moje miliony! o ty czarcie przekłety! Jakże się dobrałeś do moich pieniędzy!?

Gdybym nawet chciał, nie mógłbym na to odpowiedzieć, albowiem Judyta wtórowała mu swoim piskliwym głosem. Pieniądze ocalone, lecz w moich rękach, doprowadzały ich niemal do szaleństwa. Nie krzyczeli już, lecz po prostu ryczeli! Potoczyli się ku mnie i w miarę swoich możliwości uczepili się moich nóg spętanymi rękami. Judyta wrzeszczała:

— Oddaj pieniądze, oddaj, ty złodzieju, opryszku, oszuście! Zwróć je natychmiast!!

Była to wyjątkowo odrażająca scena. Zachowywali się oboje jak dzikie bestie. Odpychałem ich, a oni przysuwali się natrętnie. Byłem więc zmuszony tak ich ponownie związać, żeby nie mogli ruszyć się z miejsca. Wrywali się jak szaleńcy. Nie sposób opisać dokładnie twarzy Jonatana. Oczy nabiegłe krwią wyszły mu z orbit, usta wykrzywił grymas bezsilności, czoło pokrył pot a policzki nabrały sinopurpurowej barwy. Jego krzyk przemienił się teraz w wycie. Nie mogłem znieść dłużej tego widoku i oddaliłem się, aby przygotować konia do drogi. Skoro mnie Melton ujrzał w siodle, zawołał, bym ponownie się do niego zbliżył.

Uczyliłem zadość jego żądaniu. Patrzył na mnie nadal z wyrazem wściekłej nienawiści, wreszcie zapytał tłumiąc gniew:

— Sir, skąd pan wziął mój pugilares? Kiedy go zdobył?

— Owej nocy, kiedy opuścił pan Jasną Skałę. Podczas gdy wszyscy siedzieliście z wodzem, radząc o wyprawie przeciwko Nijorom, ja spokojnie was podpatrywałem.

— To kłamstwo! Jakże mógłby pan podsłuchiwać niepostrzeżenie, nie znajdując się w samym środku obozu?

— Naiwne pytanie! Powiem więcej — rozmawiałem nawet ze śpiewaczką.

— Nieprawda! Mógłby z nią rozmawiać tylko człowiek niewidzialny!

— Niech pan nie będzie śmieszny! Siedziałem w wodzie. Płynąłem rzeką aż do środka obozu. Doświadczony westman wie, jak się do tego zabrać. Zresztą, wiele zawdzięczam pańskiej nieostrożności.

— Czy był master w moim namiocie?

— Naturalnie. Zbadałem dokładnie zawartość pana torby i znalazłem portfel.

— Do diabła! Gdybym tak mógł, jak tego pragnę, rozerwałbym cię na tysiące kawałków!
— pieniał się i szamotał w więzach.

— Nie trudź się, master! — rzekłem spokojnie. — Rzemienie są mocne. Zresztą, pojął pan już chyba, że nie jestem w ciemną bitą. Gdybym się nie podkraść do obozu Mogollonów i nie zabrał pieniędzy, to...

— To spoczywałyby teraz na dnie jeziora — zakończył wściekle.

— O nie, nie to chciałem powiedzieć. W takim przypadku nie udałoby się panu wrzucić torby do wody. Kiedy wkładał pan do niej kamień, stałem w pobliżu. Gdybym wówczas nie miał jeszcze tych pieniędzy, skoczyłbym błyskawicznie, aby przeszkodzić wyrzuceniu ich do jeziora. A tak mogłem z pełnym zadowoleniem przyglądać się domniemanemu zniszczeniu milionów. Powiedział pan uprzednio, że nikt nie dostanie tego majątku, a jednak otrzyma go ktoś: mianowicie, prawowici jego właściciele.

— Niech pana diabeł porwie! Byłem tak pewny tych pieniędzy, że od dłuższego czasu ani razu nie zaglądałem do torby i nie sprawdzałem portfela. Czy oprócz pieniędzy znajdują się w nim jeszcze inne rzeczy?

— Tak, listy, jak mi się zdaje.

— Czytał je pan?

— Nie. Są własnością spadkobierców, którzy pierwsi powinni je przeczytać.

— Sir, nie czyn tego! Posłuchaj, co ci powiem! Pieniądze są, ale i ja jeszcze jestem. Nie sądz, że już ściskasz miliony w garści. Skoro zobaczyłem pugilares, nie poddam się tak łatwo. Chodzi o fortunę, rozumie pan, fortunę, a o nią będę walczył do ostatniego tchu!

— Nie mam nic przeciwko temu, mister Melton. Walcz, z kim ci się żywnie podoba! Nasza w tym głowa, abyś nie mógł popisywać się swoim bohaterstwem — dodałem ironicznie.

— Ma pan słuszność, chodzi o miliony. Zdybałem wreszcie nie tylko je, lecz także i pana. Daję seniorowi słowo, że ani pieniędzy, ani też pana z rąk już nie wypuszczę! Nie łudź się więc na próżno.

Tymi słowami zakończyłem dyskusję. Podjechałem do Emery'ego i Dunkera i poleciłem im, aby zwracali na jeńców jak największą uwagę.

— Niech pan będzie spokojny, sir! — rzekł Długi Will. — Będę ich strzegł osobiście przez całą noc z nożem w garści.

— Polegam na panu. Melton dopiero co mi oznajmił, że zrobi wszystko, byle odzyskać pieniądze i wolność. Oczywiście, myśli znów o ucieczce. Niestety, muszę teraz odjechać, pocieszam się jednak, że zostawiam go w pewnych rękach.

— Sir, tylko nasza śmierć mogłaby go nam wydrzeć! Proszę spokojnie jechać.

Ponieważ Emery dał mi takie same zapewnienie, więc mogłem wyruszyć w drogę nie martwiąc się o jeńców. Po uzgodnieniu z dowódcą oddziału czasu wymarszu, opuściłem miejsce tak bardzo pechowe dla fałszywego spadkobiercy milionowej fortuny.

Musiałem się śpieszyć, aby w oznaczonym przez Winnetou terminie przybyć na spotkanie. Dosiadałem świetnego i wypoczętego konia, a poza tym znałem, jeśli nie samą drogę, to kierunek, gdzie należało szukać Apacza. Wspomnę jeszcze, że zabrałem z sobą; jednego Nijorę na rączym koniu, aby jeśli zajdzie taka potrzeba, wysłać z poselstwem do Szybkiej Strzały.

Dzień upłynął mi niezmiernie szybko, zapadł głęboki zmierzch. Był piękny wieczór, na niebie jaśniały gwiazdy, a wyraźna tarcza księżycy — początek pierwszej kwadry — chylił się nad samym widnokregiem. Nie powiem, żebym lubił mrok nocy. Spoglądając w niebo, zobaczyłem w pewnej chwili nadciągającą ze wschodu wielką ciemną chmurę. Ponieważ od tan tej strony dął silny wiatr, mogłem się spodziewać, że w krótkim czasie chmury pokryją niebo i przysłonią światło gwiazd.

Pędziliśmy, nic nie mówiąc, poprzez rozległą równinę. Nijora trzymał się skromnie za mną, nie ważąc się jechać u mego boku. Tylko jeden raz zamieniliśmy z sobą kilka słów. Indianin znał dokładnie miejscowość, której z kolei ja nie mogłem znać, ponieważ poprzedniego dnia przybyliśmy do Cienistego Źródła nie od strony Głębokich Wód, lecz od Jasnej Skały.

— Mój brat pozwoli mi znaleźć właściwą drogę do Cienistego Źródła — powiedziałem po pewnym czasie.

— Old Shatterhand znajduje każdą drogę, nawet wówczas, kiedy jej nie zna — odrzekł.

— Sądzę, że dzieli nas od celu kwadrans drogi. Czy mam rację?

— Jest dokładnie tak, jak mówi mój biały brat.

Wobec tego pojechaliśmy nieco dalej, po czym zatrzymaliśmy się. Wystrzeliłem z niedźwiedziówki zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami z Winnetou. Spodziewałem się w odpowiedzi jego wystrzału, ale zamiast niego niedaleko od nas usłyszeliśmy głos:

— Tu jestem, Szarlieh! Poznałem odgłos twojej broni.

Niebawem nadjechał, przywitał się i rzekł:

— Tak dobrze trafiłeś, że znalazłeś się nie opodal mnie. Nie musiałem więc dawać ci znaku wystrzałem z mojej strzelby.

— Czy jesteś tu od dawna? — zapytałem.

— Nie. Mogłem śledzić Mogollonów dopiero wtedy, kiedy się ściemniło.

— Ale zobaczyłeś ich już wcześniej?

— Tak. Zbliżyłem się do nich dość blisko.

— Czy obozują nad źródłem?

— Tak. Mój brat wie, że tylu wojowników nie pomieściłoby się dookoła źródła. Siedzi więc tam tylko wódz z trzema starymi mężnymi wojownikami. Wszyscy pozostali obozują opodal nad wodą.

— Czy zaciągnęli strażę?

— Nie. Mogollonowie są wielce nieostrożni. Łudzą się, że w całej okolicy nie ma nikogo poza nimi.

— Czy wiesz, gdzie stoi powóz?

— Dwukrotnie przekradłem się i dokładnie zbadałem cały obóz wokół. Powóz stoi niedaleko wodza, w wodzie.

— A gdzie są jeńcy?

— Siedzą w powozie. Strzeże ich tylko jeden strażnik.

— Chciałbym również ich zobaczyć.

— O to nietrudno, a jeśli zaczekasz kilka chwil, przyjdzie ci to z łatwością. Chmura, która teraz zawisła nad nami, przed pół godziną była na wschodzie, a za następne pół godziny zakryje drugą połowę nieba. Czy zechcesz poczekać?

— Chociaż nie ma niebezpieczeństwa, wolę być przezorny — zdecydowałem.

Co do chmury, to przewidywał słusznie. Rozszerzała się coraz bardziej, aż wreszcie w przewidzianym czasie zakryła całe niebo.

— Teraz możemy już ruszyć. Konie pozostawimy tutaj pod nadzorem naszego czerwonego brata — rzekł Winnetou.

— W takim razie zostawię mu także obie strzelby.

— Zostaw jedynie niedźwiedziówkę, twój sztucer ja wezmę z sobą.

— Po co?

— Podczas gdy podkradniesz się, do Mogollonów, będę nie opodal stał na czatach. Jeśli przytrafiłoby ci się jakieś nieszczęście, powstanie zgiełk, który niezawodnie usłyszę. Wówczas wystrzelę ze sztucera tyle razy, aż przerażą się i puszczą cię wolno.

Wręczyłem zatem Nijorze jedynie ciężką strzelbę. Winnetou wziął mój sztucer, po czym poszliśmy na południe w kierunku źródła.

Chmura rzeczywiście tak zasłaniała światło gwiazd, że nawet w dziesiątej części nie było tak jasno, jak poprzednio. Po upływie przeszło piętnastu minut Winnetou zatrzymał się i oświadczył szeptem:

— O sto kroków stąd znajdują się pierwsze krzewy, które już znasz, ponieważ byliśmy tam przedtem. Na wprost nich bije źródło, nad którym siedzi wódz. Woda ze źródła płynie na lewo, tam też siedzą pozostali wojownicy. Między nimi a wodzem stoi powóz.

— A gdzie są konie?

— Skubią trawę po przeciwnej stronie zagajnika.

— Spróbuję podkraść się do wodza.

— W takim razie mój brat musi być szczególnie ostrożny.

— Dlaczego to Winnetou udziela mi takiej rady? Silny Wicher siedzi w pobliżu źródła, gdzie przecież rośnie gęsty zagajnik, w którym mogę się ukryć, o ile na prawo od niego nie leżą wojownicy.

— Poprzednio nie było tam nikogo.

— A więc nie sądzę, żeby ułożyli się tam teraz, w miejscu gdzie nie ma wody.

— Czy chcesz porozmawiać z jeńcami?

— Owszem, jeśli tylko będę mógł.

— Muszę cię zatem ostrzec, aczkolwiek źle odebrałeś moje poprzednie słowa. Bardzo to niebezpieczne podkraść się do nich, a jeszcze trudniej z nimi rozmawiać.

— Obiecuję ci, że będę ostrożny i zrezygnuję ze swego zamiaru, jeśli się przekonam, że jest zbyt ryzykowny. A zatem, jeżeli przytrafi mi się coś złego, to strzelaj, ale dopiero wtedy, gdy usłyszysz dwa lub trzy strzały z mego rewolweru.

— Zgoda, chociaż wolałbym, aby nie zaszła taka potrzeba.

Opuściłem Apacza i powoli skradałem się naprzód. Naraz natknąłem się na kamień. Niespodziewana myśl przyszła mi do głowy. Kamień mógł mi się przydać. Wielkością odpowiadał połowie dłoni. Podniosłem go i schowałem, po czym nachyliłem się i zacząłem macać ziemię dookoła siebie. Znalazłem jeszcze pięć czy sześć podobnych kamieni. Schowawszy wszystkie, ruszyłem dalej.

Kiedy przebyłem około sześćdziesięciu kroków, położyłem się, aby dalej już tylko posuwać się na brzuchu. Niebawem dotarłem do zagajnika. Było ciemno, choć oko wykol. Mogollonowie nie rozpalili ogniska. Przez niedbałość nie zapytałem o to Winnetou i teraz nie mogłem sobie tego wybaczyć. Nie byłem zadowolony, że wrogowie siedzieli po ciemku, lecz

równocześnie cieszyło mnie, iż mrok nie pozwalał im mnie zobaczyć. Nie rozpalono ognia prawdopodobnie z przeczności. Indianie zachowywali się tak cicho, że nie słyszałem żadnego szmeru, aczkolwiek przysunąłem się do nich bardzo blisko.

Czołgając się cal po calu, docierałem od jednego drzewa do drugiego, aż wreszcie wychwyciłem strzępy rozmowy. Jednocześnie poczułem zapach tabaki, którą zwykli kurzyć Indianie. Była to mieszanina nadmiernej ilości dzikich konopi i odrobiny tytoniu. Wkrótce zobaczyłem niewielkie ognisko; nic dziwnego, że nie było widoczne z daleka. Rozpalono je w małym zagłębieniu gruntu z kilku zaledwie gałęzi, aby jego blask nie rozchodził się zbyt daleko. Płomień miał dostarczać jedynie ognia do fajek.

Jakkolwiek ognisko nie było duże, rzucało dookoła siebie tyle światła, że mogłem rozpoznać wodza i trzech starych wojowników, którzy siedzieli nad źródłem. Rosły tam dwa przylegające do siebie krzewy, podpełzłem więc ku nim i przywarłem do ziemi, tak że jeśli nawet ktoś by mnie wyminął, nie spostrzegłby mnie. Chyba żeby się nachylił. Byłem tak blisko Indian, że mogłem słyszeć każde ich słowo.

Tak, każde słowo — gdyby tylko mówili. Niestety, akurat panowało milczenie. Kurzyli i kurzyli, nie rozmawiając z sobą wcale. Czekałem pięć minut, dziesięć, kwadrans i znów kwadrans — bez żadnego skutku. Milczeli jak zakłęci. To była dla mnie nie tylko próba cierpliwości, to była, wierzcie mi, próba o wiele cięższa. Silny, fatalny zapach dzikich konopi, jak gdyby przeznaczony specjalnie dla mnie, wgryzał się w nos i drażnił nozdrza. Na szczęście, miałem wprawę w tłumieniu kaszlu i kichania, ale bądź co bądź nie należało za długo igrać z niebezpieczeństwem. Chciałem się już wycofać, gdy oto rozległ się przed zagajnikiem okrzyk.

— Uff! — powiedział wódz. — Zwiadowcy!

A zatem nadchodzili zwiadowcy. Na pewno usłyszę coś niecoś, kiedy będą zdawać meldunek. Pozostałem więc na miejscu i nie czułem już najmniejszej chęci do kichania.

Wnet usłyszałem tętent koni i odgłos zeskakiwania z siodła. Oczom moim ukazali się dwaj przyjezdni; jeden z nich zbliżył się do wodza, drugi pozostał w tyle. A więc zdawać relację miał ten pierwszy. Jednakże nie wyrzekł on ani słowa, oczekując z uszanowaniem na pytania wodza. Ten zaś w poczuciu godności trwał w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przerwał je słowami:

— Moi młodzi bracia późno wrócili, musieli zapędzić się daleko na południe. Dokąd dotarliście?

— Aż poza Mroczną Dolinę.

— Czy widzieliście pastwiska Nijorów?

- Nie. Tak daleko nie byliśmy.
- Ale zapamiętaliście drogę, którą mamy przebyć?
- Znamy drogę tak dobrze, jak gdybyśmy przejechali ją stokroć razy.
- Czy jest uciążliwa do jazdy?
- Nie. Tylko dla powozu będzie nieco trudne wspinanie się na Łysinę Kanionu.
- Czy nie widzieliście żadnego z tych psów Nijorów?
- Jednego jedyne między Łysiną Kanionu a Mroczną Doliną.
- Skąd jechał?
- Z północy na południe.
- A więc stąd i zapewne wracał do domu.
- Wracał do domu, ale czy jechał stąd, tego nie wiemy.
- Czy was zauważył?
- Nie. Dostrzegliśmy go pierwsi i zdążyliśmy się ukryć.
- Trzeba było go schwytać.
- Sądziliśmy, że lepiej go przepuścić.
- Czy nosił wojenne barwy?
- Nie.
- A zatem mówisz, że droga na Łysinę Kanionu jest uciążliwa dla powozu?
- Jest tak stroma i tak wąska, że stracimy sporo czasu na przeprawienie powozu do Mrocznej Doliny.

— Uff! Zrozumiałem, możecie już odejść.

Obaj wywiadowcy oddalili się. Przypuszczałem, że czterej Indianie zaczną się teraz naradzać, lecz oni wciąż trwali w milczeniu. Minął kwadrans, zanim wódz zapytał:

— Co powiedzą moi trzej bracia o słowach wywiadowców?

— Uff! — odezwał się pierwszy.

— Uff! — rzekł po chwili drugi.

— Uff! — powtórzył za nimi trzeci. Ale ten był widocznie gadatliwy, bo dodał: — Niech wódz pierwszy wypowie swoje zdanie.

Silny Wicher przeczekał pięć czy sześć minut, po czym przemówił:

— Czy moi bracia nie uważają, że pies, którego spostrzegli wywiadowcy, wracał ze zwiadów?

— Nie — odrzekł najstarszy. — Musiałby tu być, gdyby wysłano go na zwiady. Kiedy zaś tutaj przybyliśmy, nie spostrzegliśmy żadnego śladu. A zatem wracał skądinąd i nie był zwiadowcą.

— Mój brat rozumuje słusznie. Ale czy nasi zwiadowcy postąpili dobrze, przepuszczając go?

— Tak. Skoro wróci bez przeszkód do obozu, nikomu nie wpadnie na myśl, że wróg ich znajduje się w pobliżu.

— Cóż jednak, jeśli rzeczywiście był na zwiadach? Później przekonamy się, czy moi zwiadowcy postąpili słusznie.

Wódz był na właściwym tropie, gdyż Nijora, dostrzeżony przez obu Mogollonów, był owym gońcem, którego rano wysłałem z Głębokich Wód. Lecz gdyby go nawet schwytali, nie ponieśliśmy żadnej straty, bowiem Nijora nie pisnąłby ani słowa.

Po pewnym czasie Silny Wicher dodał:

— A co myślą moi bracia, jeśli chodzi o przejazd powozu?

— Trzeba go było zostawić w obozie — odparł znowu najstarszy.

— Ale jeńcy nie mogli jechać konno!

— Powinni więc byli również tam pozostać. Mogliśmy zrezygnować z kilku wojowników, którzy dopilnowaliby ich w obozie.

— Nie mogliby ich dobrze strzec. To byłoby zbyt duże ryzyko.

— Czy masz na myśli Winnetou i Old Shatterhanda?

— Tak. Mój brat słyszał już, że obaj słynni mężowie wraz z swoimi towarzyszami wtargnęli do puebla, aby schwytąć białego, który zowie się Melton, a który im zbiegł. Z pewnością będą go dalej ścigać.

— O ile odnajdą jego ślad!

— Owi wojownicy znajdą każdy ślad. Potrafią więc odszukać również i trop Meltona, po czym podążą za nim. Podszczuli na nas Nijorów, dlatego też wysłałem przeciw nim Meltona wraz z pięćdziesięcioma wojownikami. Jeśli natkną się na tamtych, wezmą ich do niewoli. Jeśli jednak nie spotkają ich, to Winnetou, Old Shatterhand i pozostali pojedą do naszego obozu w Jasnej Skale, po czym udadzą się w ślad za nami.

— W takim razie grozi nam na tyłach poważne niebezpieczeństwo! — stwierdził najstarszy wojownik.

— Nie sędzę — rzekł wódz. — Dościgną nas dopiero po klęsce Nijorów, a wtedy to my ich schwytamy. Więc dobrze się stało, że zabraliśmy z sobą jeńców, bo gdybyśmy pozostawili ich w obozie, to nawet trzydziestu wojowników nie potrafiłoby ich ustrzec przed przebiegłością Old Shatterhanda i Winnetou.

Stary wódz Mogollonów był o nas dobrego zdania. Niestety, wszystkie jego przypuszczenia i obliczenia okazały się zgoła fałszywe. Gdyby przypuszczał, a cóż dopiero gdyby wiedział, że znajduję się w pobliżu i podsłuchuję, nie mówiłby z takim spokojem.

— Powóz i tak musielibyśmy zabrać z sobą — ciągnął dalej Silny Wicher — gdyż jeńcy nie umieją trzymać się w siodłach i opóźnialiby wówczas szybkość naszej wyprawy.

— Lecz skoro nie zdołamy przeprowadzić go przez wąwóz, będą zmuszeni, nawet mimo braku umiejętności, jechać konno — rzekł najniższy z wojowników.

— Przekonamy się wpierw, czy aby wąwóz jest naprawdę tak wąski. Skoro wyruszmy jutro rano, zostawimy za sobą jeńców pod należytą opieką naszych braci. Pojadą za nami po kilku godzinach. Dotrzemy do wąwozu wcześniej od nich i, być może, zdołamy nieco poszerzyć jego wąskie przejście.

— Czy powinniśmy tracić tyle cennego czasu?

— Praca ta nie będzie wymagała wiele czasu. Tomahawkami szybko odrąbiemy boki skalnych ścian. Howgh!

Słowo to oznaczało zakończenie narady. Ponieważ wódz umilkł, zamilkli także jego wojownicy. Wiedziałem, że ponowna rozmowa może się rozpocząć jedynie po bardzo długiej pauzie. Nie miałem zamiaru tak długo czekać. Wycofałem się bezszelestnie ku gęstwinie krzewów i skręciłem na lewo, gdzie stał powóz. Po przeciwległej stronie jeziora siedział w trawie Indianin, a obok niego leżała strzelba. Był to więc wartownik.

Zacząłem czołgać się dalej, musiałem bowiem zorientować się, gdzie siedzieli najbliżsi Mogollonowie. Wreszcie dostrzegłem ich. Dzieliło mnie od nich zaledwie dwanaście kroków, może nieco więcej. Następnie ruszyłem w stronę, gdzie tkwił w wodzie powóz. Był to wysoki i szeroki dylizans pocztowy, starego typu, jakiego obecnie nie znajdzie się już nigdzie, chyba że w muzeum.